

PREZENTUJEMY

Aleksander Lewicki tak pisze o sobie: *Urodziłem się 18 lutego 1959 r. na terenie obecnej Białorusi (wieś Bojary, powiat Postawy; do 1939 r. województwo wileńskie). Nie miałem tej radości i szczęścia, co moi rodacy w kraju – nie było polskiej szkoły, zabroniono polskiej mowy i wiary w Boga. Ojczystego języka nauczyłem się sam (...). Moi Rodzice uświadomili mi, że jestem Polakiem i że jest Bóg, który kocha wszystkich ludzi...*

Pamięci ks. Jerzego Popiełuszki



Miłość serca prostego

Serce kochało, serce bolało.
I w jedną chwilę bić przestało.
Taki serdeczny, taki prawdziwy.
Księżę nasz Jerzy, Tyś sprawiedliwy.
Młode i silne skrzydła Twoje.
Ojczystą ziemię krwią skropiono.
Tyle męczeństwa, tortur zadanych.
Wiary i ducha niepokonanych.
Czyste Twe Serce – wrogiom wybacz.
Ofiara Twoja – zwycięstwo znaczy.
Nikt nie przewidział, drogi nasz Jerzy.
Tysiąc tysięcy ludzkich pacierzy.
Do Twego Imienia – prosby zanoszą.
Drogiego Księdza o pomoc proszą.
Iskierkę ognia zapaliłeś w sercach.
Tego nie znali twoje mordercy!
Polska powstała – wolność zdobyta.
Krwą Swoją skropił.
Dając nam siłę.
I dziś idziemy, Krzyż Twój niesiemy.
A z nami razem i Ty.
Z samej Warszawy na Górę Krzyży.
Z Twoim to krzyżem.
Swoje te krzyże – niesiemy my.

Apel

O, nasz Boże, nasz Boże.
Usłysz nasze wołanie.
Imię Księdza Jerzego.
Niech się Świętym już stanie!
Chociaż młodym On zginął.
Oddał wszystko co miał.
Zawsze nas upominał.
W przykład życie Swe oddał.
Dobrem zło zwyciężajcie.
Pamiętajcie te słowa.
Serce swoje oddajcie.
Nie schylajcie swe głowy.
Serce nasze w boleści.
Kapelanie nasz drogi.
Krażą, krażą złe wieści.
I rozchodzą się drogi.
I dziś Ciebie prosimy.
Wstaw się Jerzy za nami.
Bo zwyciężyć musimy.
Z woli Bożej – my sami!
Na apel wstawijmy.
Wpatrzeni naokół
Tęsknimy za Tobą.
Nie słysząc Twych kroków.
I raptownie – zobaczymy Twe oczy.
I usłyszymy w sercach – Twój głos.
Zawsze z nami po życiu ja kroczę.
Choć złożyłem swe życie na stos.
Moje serce – Polsce zostawiłem.
Moje serce zawsze z Polakami.
Kapelaniem naszym zawsze byłem.
I do końca zawsze będę z wami.

Jerzy..., Jerzy

Rodaku nasz, Księżę nasz.
Odszedłeś młody taki.
Tragiczny los, tragiczny czas.
Lecz zostawiłeś znaki.
W pamięci naszej i w sercach naszych.
I w losie Polski też.
Zostałeś wiernym Synem po wsze czasy.
I w niebie tam, Swą Polskę strzeż.
Ach Święty Jerzy bądź na wieki.
W ojczyźnie z nami, w ten ciężki czas.
I w biedzie nam udziel opieki.
I kiedy cios rozdziera nas.
To Ty, to Ty, to Ty.
Jesteś razem z nami.
To Ty, to Ty, to Ty.
Wychowasz nas Polakami.
Jerzy, Jerzy, Jerzy.

POWŚCIĄGLIWOŚĆ I PRACA

MIESIĘCZNIK KATOLICKI
WYDAWANY NAKŁADEM
XX MICHALITÓW

SPIS TREŚCI

● PREZENTUJEMY – A. Lewicki	2
● POTĘGA RÓŻAŃCA – ks. M. Gładysz CSMA	3
● JESTEŚMY MĄDRYM NARODEM – rozmowa z abp. Józefem Michalikiem, przewodniczącym KEP	4
● PŁYNAĆ POD PRĄD – ks. B. Markowski CM	7
● KAPŁAN MĘCZENNIK – rozmowa o ks. J. Popiełuszce z ks. Czesławem Banaszkiewiczem	8
● ZAPIS ZBRODNI – G. Pyszczyk	10
● PRZEMOC I KŁAMSTWA – I. Sikora	11
● MANIPULOWANIE TRAGEDIĄ – C. Bunikiewicz	12
● ROSYJSKIE NIEKONSEKWENCJE – M. A. Wasilewski	13
● WAWA 8B – M. Rówińska	14
● DZIEŃ PAPIESKI 2004 – M. R.	15
● PŁOMIEŃ MIŁOŚCI – ks. J. Seremak CSMA	16
● CASTEL GANDOLFO – ks. J. Cielecki	17
● TY JESTEŚ PIOTR, CZYLI SKAŁA – B. Olszonowicz	18
● BOŻA SŁUŻBA – ks. M. Gładysz CSMA	19
● 150 LAT AMERYKAŃSKIEJ POLONII – H. Szczepański	20
● OSTRZEŻENIE Z PRZESZŁOŚCI – S. Niesiołowski	21
● CHORY HORROR – M. Klecel	22
● PIENIĄDZE WŁADZY – P. Gospodarski	23
● TELEWIZYJNA PAMIĘĆ – ks. A. Zwoliński	24
● GNIEW ARTYSTY – M. Szreder	25
● MISTRZ Z KRYNICY – J. Kossakowski	25
● JAK POSTĘPOWAĆ Z NIEMCAMI? – A. W. Pawluczuk	26
● A JEDNAK – J. Trammer	27
● WYPOCZYNEK APOSTOŁA – rec. ks. E. Data CSMA	28

FOT. OKŁADKA I – G. Gałgża

Numer zamknięto 22 września 2004 r.

ks. Mieczysław Gładysz

Potęga rózańca



Wieszcz narodowy modlił się o to, aby dożył tej pociechy, by jego książki trafiły pod strzechy. Dziś sprawy poszły znacznie dalej. Wiersze *chodzą po ulicach* – jak młody etatowy telewizyjny prześmiewca. I muszę mu przyznać rację. Otóż przed paroma dniami, przy okazji małych zakupów na bazarku, byłem mimowolnym świadkiem takiej oto pogawędki rodzinnej: – *Franek, a posedbyś do kościoła. Różaniec je. A?!! – Eee, różaniec je, różańca nima. Jednego drażni, drugiego trzima* – odparował męski głos. I po chwili: – *Jo ta nie piekora, co to w sklepie cały dzień ludzi ze skóry obdzira, a na wiecór leci zdrowaśki przebirać...*

Ten człowiek ma rację – myślałem wracając z bazarku... Różaniec nie może być traktowany jak środek usypiający. To modlitwa przetrwania, szkoła cierpliwości i niewyobrażalnej nadziei. Świętej nadziei! I ufności! Do dziś mam przed oczyma obrazy sprzed wielu lat. W mrokach późnego wieczoru cień slaniającej się ze zmęczenia mojej Mamy, cierpliwie odmawiającej Różaniec. Codziennie! Całą cząstkę! Żeby nie wiadomo co! I leż to razy, już jako kleryka przebywającego na wakacjach w domu, budziły mnie te jej *wymęczone szeptem zdrowaśki...* I nikt mi dziś nie zaprzeczy, że jeśli Bóg cierpliwie znosił moje młodzieńcze i niemłodzieńcze fanaberie – to dzięki owym różańcowym misteriom... A gdy kiedyś pytałem zacnego ojca duchownego, jak wytłumaczyć mamie, że Chrystus nie oczekuje tak bezwzględnej dyscypliny, ów rzekł: – *Przyjacielu, dziękuj Bogu, że masz jednocześnie dwie Matki po swojej stronie. Uważaj, by przypadkiem obydwie naraz cię nie opuściły!* Wydaje mi się, że zrozumiałem tę arcymądrą radę... Nikomu otąd nie odważyłem się doradzać, by *odpuścił sobie różaniec...*

Spodobalo się też Panu, byśmy dożyli czasów, w których nasz Rodak Papież, jakby *nanizal* kolejne paciorki różańcowe i cząstką *Tajemnic światła* zamknął święty krwioobieg zbawczego misterium Chrystusa... Ludzie odmawiający różaniec stają się AKTORAMI tego świętego dramatu. I może to jest tak, że za naszych czasów miarą głębi naszej wiary i świętej nadziei, albo inaczej – znakiem jakości wiary – będzie różaniec w naszym ręku. Nasz Założyciel ks. Markiewicz wiedział, co mówi, gdy powtarzał, że *niezatrudnione ręce młodego człowieka stają się łatwo rękami zbrodniarza...* Wiemy przecież, że zmorą naszych dni jest to, że zbyt wielu i nazbyt często (za często!) chwytają za narzędzie zbrodni. Gdyby tych ludzi ktoś nauczył w ich młodości sięgać po różaniec, czy tak łatwo zamieniliby go na kałasznikowy? Bomby? Czemu sami tak mało zaufaliśmy potędze różańca? Oto jest pytanie! ■

Jesteśmy mądrym Narodem

**Z arcybiskupem Józefem Michalikiem,
przewodniczącym Konferencji Episkopatu Polski,
rozmawiają ks. Sylwester Łącki CSMA i Paweł Smogorzewski**

Księżo Arcybiskupie, nade wszystkim prosimy przyjąć od całego środowiska Powściągliwości i Pracy wyrazy szacunku i najlepsze życzenia w związku z objęciem funkcji przewodniczącego Konferencji Episkopatu Polski. Mamy świadomość, że to ogromne wyzwanie, szczególnie gdy tak wiele wartości ulega swoistej degradacji. Jak powinniśmy się bronić przed zalewem tego wszystkiego, co degradowało nas jako katolików i jako Polaków?

Każdy czas jest nowy! Ten, w którym nam wszystkim przyszło służyć Kościołowi i Polsce, niesie nowe wyzwania, szanse i trudności. Ale przecież na tym polega każdy proces twórczy.

W trudnych momentach dla historii Narodu pisano dzieje, wspominając zwycięstwa albo przegrane bitwy. Rozpamiętywano wielkie odkrycia genialnych Rodaków. Obecne czasy – Bogu dzięki – wolne od wojny trzeba zapelnąć pozytywnymi kamieniami miłowymi naszej zbiorowej świadomości. Może chodziłoby o nową koncepcję szeroko rozumianej odpowiedzialności za wiarę, za naszą kulturę i za narodową tożsamość.

Nie może się to odbyć bez wszechstronnego, także duchowego wysiłku. Przeglądając się wszystkim, czego przez wieki doznaliśmy i czego doświadczamy obecnie, sam stawiam sobie pytanie: – *Za co jesteśmy krytykowani przez tych, którzy są spoza kręgu wiary?* Odpowiedź na to pytanie jednoznacznie wskazuje, czego ci ludzie czy grupy oczekują, a czego się boją, co jest dla nich zagrożeniem. Najczęściej, jak wiemy, jesteśmy krytykowani za tradycjonalizm. Jest to dla mnie potwierdzenie, że wszystkie kregi tzw. *postępców*, no-

winkarzy, obawiają się naszego przywiązania do dziedzictwa przeszłości. Wiedzą więc, co czynią, wzniesając lament. Tradycja jest bowiem charakterotwórcza: formuje sumienie, poglądy i urabia nas jako Naród, tworzy więzy i związki między ludźmi, ustala zasady, a potem motywuje do pracy.

Drugi element krytyki pewnych kręgów liberalnych to ludowa pobożność, przejawiająca się w żarliwej, publicznej modlitwie. Ludową pobożność, do której tak wielką wagę przywiązywał Prymas Tysiąclecia kard. Stefan Wyszyński, warto zachować za wszelką cenę! To nas uratuje. A to dlatego, że każdy człowiek potrzebuje pokornego przeżywania wielkości Boga i własnych ułomności, potrzebuje też obok siebie podobnego świadka wiary i pobożności.

Zdarza się czasem, że ktoś wywodzący się z owych elit, zapytany o wrażenia z przeżyć pobożności ludowej zauważył jej głębię. Nie tak dawno usłyszeliśmy taką mądrą uwagę po obejrzeniu filmu *Pasja* Mela Gibsona: – *Pozwólcie nam wierzyć tą małą, skromną, niedoskonałą wiarą w Umęczonego Chrystusa!* W tym, jak myślę, zawiera się prawdziwa wielkość człowieka, że potrafi dostrzec on swoją małość i skromność wobec Boga. A polska tradycja religijna o tym właśnie mówi i tego uczy. Uczy pokory.

Nie szczędził Ksiądz Arcybiskup słów gorzkiej krytyki tzw. elitom, które po przełomie '89 roku przejęły ster rządów. Czy Wasza Ekscelencja podtrzymuje te opinie? Jeśli tak, to jak uzdrowić sytuację?

Wystrzegajmy się populizmu! Uważam, że krytyka wobec elit jest przede wszystkim krytyką wobec samych siebie.

Przecież od ludzi, którym więcej dano, należy więcej wymagać! Oczywiście jest fakt, iż bez elit żaden naród, żadne państwo nie może się rozwijać. Chodzi jednak o to, by elity były nie tylko wykształcone, lecz także uformowane do poziomu bycia autorytetem. Koncepcja elity musi się zmieniać i dojrzewać. Ludzie przygotowani do pracy twórczej, bo taką jest służba społeczna, wykształceni na wszystkich poziomach życia społecznego są nie do zastąpienia. Nie zapominajmy jednak, że nie tylko stopnie naukowe powinny być ich wyróżnikiem. Przede wszystkim muszą to być ludzie moralni i etyczni. Ileż to razy słyszymy w programach telewizyjnych czy czytamy w prasowych artykułach *Jeremiady* na temat upadku autorytetów. Rodzą się od razu pytania: – *A kto zniszczył autorytety? Kto czyni to do dzisiaj? Kto teraz degradowa i rozkłada elity?* Odpowiedź jest prosta: ten, kto szkodzi Narodowi, a więc wróg naszego wewnętrznego odrodzenia!

Nie wolno, rzecz jasna, uogólniać, że wszyscy członkowie elit są niewiele warte. Jednak, proszę spojrzeć, ile wciąż jest skandali. Ilu ludzi spośród tych, którzy sprawowali rządy w ciągu ostatnich piętnastu lat, mogłoby służyć innym za wzór moralny? To dramat! Swoista tragedia, że panteon chwały lat osiemdziesiątych i późniejszych opróżnia się! Pozostają puste zabytkowe ramy, z których, jak gdyby złodziej wycinał, jeden po drugim, portrety przodków. Odchodzą i koniec...

Autorytet to jest przede wszystkim bezinteresowność i prawda. Ale skoro buduje się na kłamstwie całą wyborczą propagandę, to nie można się z tym zadowalać. Zdrowy patriotyzm wciąż także przypominać o konsekwencjach *II wojny światowej*. Nie tylko dlatego, że Polska tego najtragiczniejszego w dziejach konfliktu nie wywołała, lecz także dlatego, że dzisiejsza sytuacja każe nam pokazać, iż Naród, który miał udział w zwycięstwie sił alianckich, właściwie został sprzedany na prawie pół wieku obcemu mocarstwu i na dobrą sprawę nie uwzględniono jego wkładu w rozgromienie III Rzeszy. Nie kwestionując powojennych ustaleń pokojowych musimy też przypominać i o tym, że zredukowano nasze terytorium o prawie 1/3 w porów-



foto: P. Zyczeński

wym, że warto być ofiarnym.

Jako biskup gorzowski Ekscelencja duszpasterzował na Ziemi Lubuskiej. Zna więc Ksiądz Arcybiskup bardzo dobrze problemy, przed jakimi stanąć mogą mieszkający tam Rodacy wobec podnoszonych coraz częściej roszczeńowych żądań organizacji niemieckich. Jak Kościół reaguje na tego rodzaju medialne i nie rzadko prawno-sądowe zaczepki?

Kościół w zakresie działań, do których jest posłany, musi strzec prawdy, także historycznej. Dlatego też w relacji do Ziemi Zachodnich zachowywał i zachowuje zawsze bardzo bliską tożsamość. Zdrowy patriotyzm wciąż także przypominać o konsekwencjach *II wojny światowej*. Nie tylko dlatego, że Polska tego najtragiczniejszego w dziejach konfliktu nie wywołała, lecz także dlatego, że dzisiejsza sytuacja każe nam pokazać, iż Naród, który miał udział w zwycięstwie sił alianckich, właściwie został sprzedany na prawie pół wieku obcemu mocarstwu i na dobrą sprawę nie uwzględniono jego wkładu w rozgromienie III Rzeszy. Nie kwestionując powojennych ustaleń pokojowych musimy też przypominać i o tym, że zredukowano nasze terytorium o prawie 1/3 w porów-

naniu ze stanem sprzed wojny. Dzisiaj jednak w Polsce nie słychać rewindykacyjnych żądań co do, np. Wilna czy Lwowa, gdzie przecież ciągle żyją Polacy, którzy z Polski nie wyjeżdżali. To świadczy o tym, że rozumie my historię i patrzymy na jej bieg odpowiedzialnie, że jesteśmy mądrym Narodem, historycznie myślącym. Nie można jednak powiedzieć, że nie się stało. Europa powinna to zauważyć. Nie wolno nam także mówić, że Niemcy nie cierpieli. To byłaby nieprawda. Nie chodzi jednak o to, aby licytować się wzajemnymi krzywdami. Dzisiaj kwestia Ziemi Zachodnich dla Polski to problem życiowy. Nie wolno mieszkających tam ludzi pozbawiać prawa do ziemi – oni mają święte prawo utożsamiać się z miejscem, gdzie przyszłi na świat.

Kościół zawsze odcinał się od działości tzw. *ziomkostw*. Stawał na relacji między ludźmi, a nie politycznej. Pamiętam księży i biskupów diecezji gorzowskiej, którzy utrzymywali serdeczne kontakty z kapłanami i ordynariuszami niemieckimi, wywodzącymi się z tych terenów. Sprawa dla obu stron była jasna – goście zza Odry mówili, że konsekwencje historyczne są takie, jakie są!

Ogromnym błędem naszego państwa było nieuwłaszczenie mieszkańców Ziemi Zachodnich. Skutek tego jest taki, że wielu z nich reaguje nerwowością i obawami przed normami prawa *Unii Europejskiej*. Szczęśliwie, z mocą zareagował Sejm – ponad podziałami politycznymi – jednogłośnie negując jakiegokolwiek roszczenia naszych zachodnich sąsiadów, co z całą pewnością zrobiło dobre wrażenie na całym świecie, dowodząc, iż pomimo wewnętrznych sporów jesteśmy jednomyślni, gdy idzie o żywotne polskie interesy.

Jednak nie targi polityczne i międzynarodowe spory, jakkolwiek ważne, powinny być powodem naszej szczególnej uwagi. Obecnie najważniejszym proble-

mem jest, jakże smutna, by nie powiedzieć tragiczna konstatacja, że Polska wymiera, że wymiera Naród. Na Ziemiach Zachodnich więcej ludzi umiera, niż się rodzi! Jest to zresztą problem całego kraju. W Przemysłu, gdzie duszpasterzuję i skąd wezwany zostałem na funkcję przewodniczącego KEP, w ostatnich latach liczba ludności zmniejszyła się o kilkadziesiąt tysięcy! Składa się na to i niski przyrost naturalny i emigracja, głównie zarobkowa – poza kraj. Zbyt łatwo chyba ulegamy medialnym mirażom, że *na Zachodzie wszystko jest lepsze i piękniejsze*, czy liberalno-libertyńskiej propagandzie, że *rodzina – zdrowa, wielopokoleniowa i wielodzietna – to przeżytek...*

Prawdą jest i to, że jednym z najtrudniejszych i najboleśniejszych problemów naszej Ojczyzny jest katastrofalne bezrobocie...

Zaradzanie bezrobociu – od razu mówię – nie jest pierwszorzędnym zadaniem Kościoła. Kościół sam nie rozwiąże tego problemu. To trzeba od razu powiedzieć, żeby nie budzić nieuzasadnionych nadziei. Skończyć się to może frustracją wszystkich tych, którzy liczą, iż Kościół jest w stanie uzdrowić wszelkie społeczne bolączki. Nie wolno tworzyć takiej wizji, bo ona jest po prostu nieprawdziwa. Natomiast powinniśmy budzić zainteresowanie bezrobotnymi, mobilizować ludzi do pomocy, wypracowywać pewne systemy mówiąc prawdę o bezrobociu i pytając o jego przyczyny. Podobnie mówimy dzisiaj: *tu terrorizm, tam terrorizm...* Pewnie, że terrorizm istnieje, ale pytajmy o przyczyny, bo inaczej nie wygramy z tą plagą.

Jak uporać się z problemem bezrobocia? Niestety, większość z nich jest to, że wielu ludzi, którzy znaleźli się bez możliwości zarobkowania, nie ma oparcia w rodzinie. Wciąż, niestety, następuje rozpad podstawowych więzi, które przez pokolenia pozwalały przetrwać ludziom znajdującym się w sytuacjach kryzysowych. Wiele z pewnością mogłyby pomóc władze samorządowe, lokalne, tworząc przemyślnie partę na miejscowych zasobach.

W maju bieżącego roku znaleźliśmy się w formalnych strukturach →

Unii Europejskiej. To dla nas kolejne wyzwanie. Wciąż właściwie nie wiemy, jak poruszać się po tym nieznanym nam gruncie...

Wciąż uważam, że do *Unii Europejskiej* Polska weszła nieprzygotowana. Nawet od strony informacyjnej. Jednak musimy, tak czy inaczej, być odpowiedzialni za tę nową dla nas sytuację. Nie taki diabeł straszny – chciałoby się powiedzieć, ponieważ przynależność do *UE* daje nam jako państwu niemałe możliwości. Korzystanie z nich wymaga jednak od nas podniesienia chociażby poziomu wykształcenia Polaków. Kolejna kwestia to etyka. Musimy zrobić wszystko, aby Polak nie był kojarzony z człowiekiem nieuczciwym, ale z pracowitym, gospodarnym. W tym punkcie widzę rolę wychowawczą Kościoła. Pamiętajmy, że spotkanie z innymi narodami, innymi kulturami może dawać możliwości wewnętrznego wzbogacenia, jest wezwaniem do jedności, do spełnienia duchowych misji.

Wśród gąszcza wyzwań i trudności warto zauważyć, że ze *starymi* Europejczykami mamy pewne cechy wspólne: ten sam szacunek do Boga i Jego dzieściorga przykazań, poczucie wartości słów, poczucie wartości prawa... Myślę, że jednak wierzący człowiek ma o jeden motyw więcej, aby bać się życia w nowej Europie...

W sposób bardzo wyraźny spychana jest na dalszy plan kultura inspirowana wartościami chrześcijańskimi, katolickimi. Wydaje się, że coraz mniej wagi przywiązujemy do wartościowych lektur. Zagrożony jest byt katolickiej prasy. Co należy zrobić, aby nie zalała naszej świadomości fala kolorowych, najczęściej niepolskich tytułów? Jak należy kształtować świadomość współczesnego Polaka?

Chociaż żyjemy w świecie cywilizacji obrazkowej, w żaden sposób nie wolno zapominać o tym, że istnieje ten, jeden z najpiękniejszych światów, jakim jest świat słowa pisanego – świat lektur! Niestety, doświadczamy konsekwencji długofoalowej tendencji, która swój początek ma pewnie w latach, gdy tzw. *postępek techniczny* zaczął wyznaczać gospodarce priorytety. Przesztano kontem-

wać urodę wiersza, bo bardziej zachwycał swym miniaturowym kształtem radiowy odbiornik... Gorsze, że ta miniaturyzacja dotknęła też wielkiej literatury – dzisiaj zamiast sięgać po opasłe tomy *Nocy i Dni* czy *Nad Niemnem*, uczniowie i – o zgrozo – studenci, sięgają po cieniutkie streszczenia, tzw. *bryki*... Może wina za takie sytuacje leży w nas samych, jako wychowawcach i nauczycielach? Może nie potrafimy porwać młodzieży do piękna?

Tym zaczynam, pewnego rodzaju formą przygotowującą do uczestniczenia w kulturze słowa, winna być lektura katolickiej prasy. Czy wygra ona z programami telewizyjnymi i kolorową prasą? Miejmy nadzieję, że tak. Coraz więcej ludzi przekonuje się, że bezmyślnie wpatrywanie się w ekran nie tylko szkodzi oczom, lecz także niszczy więzi międzyludzkie. W iluż to domach z racji tego, że włączony jest telewizor, tygodniami mąż i żona nie zamienili ze sobą ani słowa? Pamiętajmy, że kultura i życie mogą być wzbogacane przez nowe środki medialnego przekazu, ale nie powinny być przez nie zdominowane. Tym bardziej, że wciąż jesteśmy świadkami swoistej walki o naszą narodową świadomość, a raczej jej niszczenia, w czym media elektroniczne odgrywają zasadniczą rolę. Szczęśliwie okazuje się, że ich wysiłki często skazane są na porażkę: dowiodły tego chociażby sierpniowe obchody 60. rocznicy wybuchu *Powstania Warszawskiego*.

Październik to miesiąc, w którym zawsze będziemy wracali pamięcią do zabójstwa ks. Jerzego Popiełuszki. Paradoksalnie, dzisiaj w wolnym kraju odnieść można wrażenie, że jakkolwiek nie ma miejsca na fikcyjną eksterminację duchowych, to jednak z coraz większą bezwzględnością czyni się wszystko, aby kapłanom, szczególnie tym, którzy nie zgadzają się na współpracę ze współczesną propagandą sukcesu, zadać śmierć cywilną. Czy mamy do czynienia z bardziej cywilizowaną w swych środkach, ale również brutalną walką z Kościołem katolickim?

Tutaj nie mam żadnych wątpliwości: tak właśnie jest. Zmieniły się tylko for-

my. Niezależność myślenia, którą reprezentował Kościół, jest ciągle dla wielu niebezpieczna. To była przyczyna prześladowania przez komunistów i nazistów. Ta sama przyczyna istnieje i dzisiaj. Jest to odwieczne ścieranie się: walka dobra i zła. Śmierć ks. Jerzego to był element pewnego programu. Zginęli przecież: ks. Niedziela, ks. Zych i ks. Suchowolec. Wszyscy uprzednio byli fałszywie oskarżani o niemoralność. Wiemy, że w ten sposób chciano przestraszyć Kościół i rzucić Go na kolana. Zamknąć Mu usta. Gdy duszpasterzowałem w Gorzowie wielokrotnie wybijano cegłami okna w kaplicy i w domu biskupim. Po każdym moim ostrzejszym kazaniu była taka reakcja. Jednak, żeby nie dać przeciwnikowi satysfakcji, nie nagłaśniałem tych wydarzeń.

To nie przypadek, że dzisiaj do tej – innej w swojej formie – walki z Kościołem, jak na gwizdek stają jednocześnie wszystkie liberalne środki przekazu. Oczywiście nadużyłoby byłoby stwierdzenie, że wszyscy duchowni są bez skazy. Pamiętajmy, że Kościół jest instytucją, która się oczyszcza i samoczyszcza, ale jednocześnie wciąż buduje na prawdzie o ludziach – grzesznikach a to właśnie jest siłą Kościoła. To jest wyzwanie i dla księży i dla wiernych. Nasza obrona powinna być oparta na nawróceniu i promocji dobra, a nie tylko na pustym krzyku przeciwko tym, którzy to zło czynią – chociaż zło trzeba nazwać po imieniu. Jezus nas pouczył, jak się zachowywać w takich sytuacjach: *nadstaw mu drugi policzek*. Nie pasuje to do dzisiejszego świata, bo to trudne, nieskuteczne, ale to jest metodologia Ewangelii. Nie nienawiść, ale wybaczenie i *złoto dobrem zwyciężaj*. Nie ma innego, lepszego i bardziej twórczego wyjścia.

Oczywiście, trzeba bronić sprawiedliwości. Trzeba zdobywać się na niepopularność. Ot, chociażby kwestia obrony życia nienarodzonych – to przecież Lenin, pierwszy w świecie, głosił hasła aborcyjne. Są na to pisma, świadectwa. A Rosja Sowiecka była pierwszym krajem, który wprowadził prawo do aborcji. Jasno trzeba powiedzieć, że wszystkie zakusy na to, żeby człowiek nie sz-

nował prawa Bożego i naturalnego, są pokłosiem najpierw eksplozji *Revolucji Francuskiej*, a później *Październikowej*... Dążą one do nieliczenia się z Bogiem, domagają się tworzenia państwa *stricte* świeckiego, laickiego. To, co obserwujemy dzisiaj, to stare slogany, które się odgrzewa, nazywając je *nowocze-*

snością, a nawet *postępem*. Trzeba o tym mówić. Trzeba o tym przypominać. To straszne, że Europa, która ogłasza się najbardziej cywilizowanym kontynentem, chce narzucić głosami różnych frakcji prawo do aborcji czy eutanazji. To jest dramat! Barbaryzujemy się!

Ale właśnie tym większe wyzwania

AKTUALNOŚCI NIECO OMSZAŁE

Gdy w 1995 r. w Skoczowie Ojciec Święty Jan Paweł II powiedział, że katolicy są spychani na margines i, wbrew pozorom, praw sumienia trzeba bronić także dzisiaj – odezwały się głosy krytyki: przeciw katolicy nie czują się i nie są dyskryminowani! Może jednak prawda jest inna? Może nie dość jesteśmy katolikami – i dlatego nie odczuwamy na własnej skórze agresji tych, którzy w chrześcijaństwie upatrują swojego wroga? Bo popatrzmy...

Płynąć pod prąd

Co dziś reklamuje się w środkach masowego przekazu: wartości chrześcijańskie czy prawa, które tym wartościom są przeciwne? W dyskusji o handlu w niedzielę, po której stronie stoją telewizyjni spikerzy? Owszem, w swojej *bezsstronności* posuną się do argumentu, że jeśli tak dalek pójdzie, to pracownicy telewizji też nie będą mogli pracować w niedzielę, a to byłoby katastrofą dla życia społecznego! A może wcale nie?! A może byłoby to wielkie dobrodziejstwo? Gdybyśmy raz w tygodniu nie słuchali cynicznych wypowiedzi polityków i nie oglądali wciąż tych samych filmów, epatujących golizną i przemocą?

Co dziś zwraca uwagę: krzyż w miejscu publicznym czy brak znaku krzyża? Otóż, na brak krzyża zupełnie nie reagujemy i prawie nikt nie walczy z brakiem krzyża w różnych miejscach publicznych. Ale pomysł ustawienia krzyża w parku lub zawieszenia krzyża w nowej hali fabrycznej? Tu, owszem, można spodziewać się przykrych uwag albo i protestów w prasie...

Z kogo zakpią koledzy w szkole: z tego, który w niedzielę nie idzie do kościoła (a powinien) czy z tego, który jest ministrantem i idzie do kościoła trzy razy w tygodniu? Z koleżanki, która nie chodzi na lekcje religii czy z tej, która czyta Pismo Święte i książki katolickie i wykazuje się ponadprzeciętną wiedzą religijną?

Kto dziś jest bohaterem dla młodych: prawiczek, który twierdzi, że zachowa czystość do ślubu czy erotoman, który

chwali się seksualnymi podbojami? Co dziś jest prawdziwym aktem odwagi: noszenie koszulki z napisem: *usunęłam ciążę, mam spiralę, nie słucham papieża* czy noszenie koszulki z napisem: *No sex until marriage, no morality without Christ*? Dziennikarza, który pojawił się w redakcji z takim napisem, spotkały docinki w stylu: *watykańska wtyka i każde średniowiecze ma swoje zaplecie*.

Czy katolicy wytykają palcem tych, którzy nie noszą ani medalika, ani krzyżyka, albo tych, którzy noszą satanistyczne symbole? Owszem, swego czasu najbardziej wytykano palcem Prezydenta RP, który odważył się nosić wizerunek Matki Bożej w klapie marynarki...

Pewien 80-letni ksiądz mówił mi kiedyś, jak pozdrawiają go uczniowie jednej ze szkół (obok której przechodził): *Te, hysy; i jak tam, dobrze ci?* Głupie uwagi kieruje się na ulicy ewentualnie pod adresem księdza czy siostry zakonnej, przeciw nie pod adresem zakazanego typu z kolczykiem w nosie i w brwi: tego trzeciego raczej omija się z daleka, aby nie oberwać. Po księdzu czy siostrze zakonnej nikt (a jednak) nie spodziewa się agresywnej reakcji czy aktu przemocy.

Dlatego bez żenady atakuje się, jak nie ks. Rydzyska, to ks. Jankowskiego... Obserwując, że wzrastającym niesmakiem, jak *Gazeta Wyborcza* dzień w dzień (z nielicznymi wyjątkami) atakuje ostatnio ks. prałata Jankowskiego: jakby tu jeszcze przyłożyć zniechęconemu *antysemitę*? Ponieważ nie udało

i zadania pojawiają się przed Kościołem. Modlitwa, przykład życia, pogłębiona znajomość etyki, właściwa argumentacja – to są wielkie środki, którymi trzeba nam dziś działać.

Serdecznie dziękujemy za rozmowę. Rozmawiali: Paweł Smogorzewski i ks. Sylwester Łącki CSMA

się dowieść, że kupił nowy, jeszcze droższy samochód, podano, że samochód aktualnie używany spala w mieście ponad 18 litrów paliwa na 100 kilometrów (w domyśle: patrzcie, ile pieniędzy wydaje na paliwo). Jutro zapewne *GW* poda, ile będą kosztowały zimowe opony do tego samochodu, i tak do skutku... Oczywiście, nie pastwiono by się tak nad ks. Jankowskim, gdyby nie był księdzem katolickim.

Prześladowani niewierzący? Mniejszości seksualne? Zwolennicy postępu? Nietolerancyjne państwo wyznaniowe? **Dziś to wiara jest wytykana palcem i być wierzącym znaczy płynąć pod prąd.** Także: pod prąd tzw. *opinii publicznej i wartości* propagowanych przez środki masowego przekazu.

Chrystus Pan mówił: *Uczeń nie przewyższa nauczyciela ani sługa swego pana. Wystarczy, jeśli uczeń będzie jak jego nauczyciel, a sługa jak pan jego. Jeśli pana domu przewaliliby Belzebubem, o ileż bardziej jego domowników tak nazwą (Mt 10, 24nn)*. Budowanie dobra z Jezusem zawsze się spotka z jakimś sprzeciwem. Jeśli zaś bycie chrześcijaninem oznacza budowanie z Jezusem, trzeba się liczyć z koniecznością płynięcia pod prąd. I jeśli nie odczuwamy na sobie żadnego oporu otoczenia, to może dlatego, że płyniemy z prądem? Ale, jak mówi góralska mądrość: *Z prądem płyniemy byle g... Tylko zdrowa ryba potrafi płynąć pod prąd...*

ks. Bogdan Markowski CM

REPRESJE DUCHOWIEŃSTWA W PRL (4)

W 20. rocznicę śmierci, ks. Jerzego Popiełuszkę wspomina Jego bliski współpracownik i przyjaciel – ks. Czesław Banaszkiewicz.

Kapłan Męczennik

Może zechce Ksiądz przypomnieć, gdzie i kiedy zetknął się po raz pierwszy z ks. Jerzym?

Ksiądz Jerzego Popiełuszkę poznałem pod koniec czerwca 1978 roku. Przyszł do parafii pw. Dzieciątka Jezus na Żoliborzu. Zamieszkał przy ul. Mierostawskiego 6, w domu parafialnym, dokładnie w moim sąsiedztwie. Ja pracowałem przy tej kaplicy (ul. Czarnieckiego 15) już prawie osiem lat. Najpierw jako wikariusz, a potem jako rezydent. Ksiądz Jerzy był tam wikariuszem. Duszpasterzowaliśmy razem przez rok czasu. Zaprzyjaźniliśmy się. Naszym proboszczem był wówczas ks. kanonik Jan Szymborski.

Jak Ksiądz dzisiaj ocenia Jego działalność duszpasterską w parafii?

Budowałem się Jego kapłańską gorliwością, pokorą i otwartością. Był człowiekiem bardzo serdecznym, komunikatywnym; z każdym chciał porozmawiać, każdemu chciał pomóc. Starał się rzetelnie pomagać nie tylko naszym parafianom, lecz także swoim podopiecznym w innych dzielnicach miasta (m.in. na Woli), do których jeździł w pierwsze piątki miesiąca z komunią świętą. Miał wielkie nabożeństwo do Matki Bożej. W wolnych chwilach naklejał na deseczkach obrazki Madonny Częstochowskiej, lakierował je i rozdawał odwieczającym go ludziom. Zdobywał też sporo plastikowych różańców (*na palec*), w różnych kolorach. Nimi również obdarowywał swoich gości. Ja sam otrzymałem ich bardzo wiele i mogłem je dalej rozdawać znajomym.

Wiem, że Ksiądz był świadkiem zaślubienia ks. Jerzego przy ołtarzu...?

Nie zapamięnę tego wydarzenia. To było chyba w marcu 1979 r., w godzinach rannych. Siedziałem w konfesjo-

nale w kaplicy Dzieciątka Jezus, a ks. Jerzy odprawiał Mszę św., jak zwykle z wielkim przejęciem. Nagle zauważyłem, że jego głos słabnie, są jakieś przerywy w czytaniach. Szybko podszedłem do ołtarza i odprowadziłem Go do zakrystii. Tam zemdlął. Zajęli się nim inni ludzie, a ja kontynuowałem rozpoczętą przez Niego Najświętszą Ofiarę. Taki przypadek przytrafił się jedyny raz w moim życiu kapłańskim, a jestem już księdzem od 44 lat.

A więc słusznie podkreśla się, że ks. Jerzy nie był okazem zdrowia?

Zawsze chętnie spieszyła mu z pomocą doktor Barbara Janiszewska. Także w dniu jego zaślubienia przy ołtarzu. Poleciała wówczas, aby zgłosił się do niej do szpitala kolejowego (przy ul. Brzeskiej) w celu zrobienia podstawowych badań i skontaktowania się z internistą. Zawiozłem ks. Jerzego do szpitala. Po kilku dniach badań ustalono, że powinien być leczony w Instytucie Hematologii (przy ul. Chocimskiej). Przebywał tam przez sześć tygodni pod opieką doktora Stanisława Maja. Do domu wrócił w Wielki Piątek 13 kwietnia 1979 roku. Wielokrotnie odwiedzała Go tam dr. Janiszewska. Podkreślała, że jest osłabiony i potrzebuje opieki lekarskiej. Wiem, że brał witaminę B12. Nie można jednak powiedzieć, iż był człowiekiem chorym; raczej mało odpornym. Istnieje ogólne przekonanie, że ks. Jerzy wiele zdrowia stracił podczas pobytu w wojsku. Zresztą, On sam też tak uważał. Po powrocie ze szpitala opowiadał mi z radością, że mógł tam odprawić Mszę św. i spowiadać pacjentów. A więc służył ludziom nieustannie, zupełnie nie miał czasu dla siebie.

Od samego ks. Jerzego wiem, że odprawiał Mszę św. także w Aka-

demii Medycznej podczas strajku studentów...

Tak, to było w czasie strajku okupacyjnego na wydziale farmacji AM (przy ul. Banacha). W tamtych trudnych dniach codziennie tam spieszył, aby wieczorem sprawować Eucharystię. Także w ciągu dnia wielokrotnie odwiedzał studentów, pocieszał ich, uspokajał, dodawał otuchy. Kilka razy, na Jego prośbę, pomagałem Mu. Spowiadaliśmy w pokojach profesorskich. Niejednokrotnie byliśmy świadkami nawróceń wśród tych młodych ludzi. Budowaliśmy się ich głęboką wiarą. Przygotowując pieśni na Mszę św., pisali je na tablicach w auli wykładowej. Brali czynny udział w śpiewie i modlitwie, a większość z nich przystępowała do Stołu Pańskiego. Gdy opowiadałem o tym wszystkim ks. proboszczowi Teofilowi Boguckiemu, odpowiedział, iż to bardzo dobrze, że jest tam ks. Jerzy, bo *Kościół powinien być wszędzie...*

Jak układała się późniejsza współpraca Księży?

W czerwcu 1979 r. opuściliśmy parafię Dzieciątka Jezus. Ksiądz Jerzy przestał być wikariuszem, a ja przestałem być rezydentem. Z ogłoszenia w *Życiu Warszawy* znalazłem dla Niego mieszkanie (przy ul. Chłodnej 15 róg Żelaznej). Obejrzelśmy razem tę *kawalerkę*. Jurek zdecydował się na to M2 (26,7 metrów kwadratowych). Jego ciotcia z Ameryki – Mary Kalinowska obiecała Mu pomoc finansową. Ksiądz Jerzy zamierzał wspomagać duszpasterstwo w pobliskiej parafii św. Andrzeja Apostoła (przy ul. Chłodnej). Ale biskup Władysław Miziołek, który od wielu lat był blisko ks. Jerzego, zaproponował Mu opiekę nad personelem medycznym, skupionym przy kaplicy *Res Sacra Miser (Ubogi rzeczą świętą)*, przy ul. Krakowskie Przedmieście 62. Jednocześnie zlecono mu konwersatorię z młodzieżą studiującą w Akademii Medycznej. Dlatego też znalazł się przy kościele akademickim św. Anny. Zamieszkał w małym pokoiku na poddaszu, z widokiem na Mariensztat. Ko-

rzystał też z własnego mieszkania na Chłodnej.

Miałem szczęście poznać ks. Jerzego Popiełuszkę właśnie w kościele św. Anny, gdzie w grudniu 1979 r. urządzaliśmy wystawę zdjęć z pierwszego pielgrzymki Ojca Świętego do Polski. Otwierali ją biskup Miziołek w asyście ks. rektora Tadeusza Uszyńskiego i ks. Jerzego. Zachowały się zdjęcia... Co było później?

Pół roku później *zwołniono się* mieszkanie na plebanii przy kościele św. Stanisława Kostki na Żoliborzu. Ówczesny wikariusz ks. Andrzej Przekaziński przeprowadził się na Solec, gdzie został dyrektorem Muzeum Archidiecezji Warszawskiej. Zaproponowałem ks. Jerzemu, aby poprosił ks. proboszcza Teofila Boguckiego o przyjęcie go na rezydenta do tamtejszej parafii. I tak się stało. Ksiądz prałat przyjął ks. Jerzego bardzo serdecznie i przydzielił Mu pokój na parterze (obecnie jest tam kancelaria).

Po wprowadzeniu *stanu wojennego* ks. Jerzy przeniósł się na piętro, gdzie miał dwa pokoje. Większy z nich to właściwie sala, w której spotykał się z młodzieżą akademicką, dla której czasem odprawiał Mszę św. Na dole zaś urządzono *aptekę*, działającą w ramach Komisji Charytatywnej Episkopatu.

Ja już rok wcześniej zostałem przyjęty przez ks. proboszcza Boguckiego do pomocy w kościele św. Stanisława Kostki. Teraz więc byliśmy znowu razem z ks. Jerzym. Współpracowaliśmy po bratersku i przyjacielsku. Od lutego 1982 r. ks. prałat powierzył ks. Jerzemu prowadzenie Mszy świętych za Ojczyznę. Przez cały czas służył Mu radą i otaczał ojcowską opieką. Czasem przywoływał znane słowa Ojca Świętego skierowane do Księdza Prymasa Wyszyńskiego: *Nie byłoby tego Papieża Polaka..., gdyby nie było Twojej wiary; Twoje zawierzenia Matce Bożej i Twojego cierpienia...* Wydaje mi się, że można powiedzieć analogicznie: Nie byłoby sługi Bożego i męczennika ks. Jerzego, gdyby nie miał wspaniałego przykładu i moralnego wsparcia tak wielkiego duszpasterza i patrioty, jakim był ks.

prałat Teofil Bogucki.

Kazania ks. Jerzego nie podobały się władzy ludowej. Coraz bardziej narastało niebezpieczeństwo wokół jego osoby...

W otoczeniu życzliwych ludzi pojawiały się głosy doradzające ks. Jerzemu zaprzestanie, przynajmniej na jakiś czas, głoszenia homilii na mszach za Ojczyznę. Zwłaszcza we wrześniu 1984 r. była napięta sytuacja. Dostawał mnóstwo anonimów, ostrzeżeń. Zastraszano go na kartkach i przez telefon. Niepokojono go pogróżkami w dzień i w nocy. Pisano lub mówiono: *Zostaniesz ukrzyżowany!*, *Będziesz powieszony!*, *Wyrzucimy cię z parochii!* Sledzono Go na okrągło. Czuli się osaczeni. To było dla Niego bardzo przykre. Wiele razy mówiliśmy o tym przy stole. Pamiętam, że kiedyś powiedział: *Przez śmierć i pogrzeb można więcej zrobić, niż za życia!*

Ksiądz Jerzy często był wzywany na przesłuchania do pałacu Mostowskich – do Komendy Stołecznej Milicji Obywatelskiej. Nie zawsze odpowiadał na zadawane pytania, które z reguły były bezsensowne. Korzystał z prawa odmawiania zeznań, a w tym czasie modlił się na różańcu, z którym się nie rozstawał. Zazwyczaj ludzie odprowadzali go na przesłuchania, a gdy wracał – witali z radością kwiatami. To podnosiło Go na duchu, dodawało sił do przetrwania tamtych trudnych dni.

Ksiądz był w tej parafii w dniach

niepewności i dramatycznego oczekiwania na powrót wprowadzonego 19 października 1984 r. ks. Popiełuski. Nie dało się Go ocalić. Dziś czekamy na Jego beatyfikację...

Niecałe dwa dni po wprowadzeniu, tj. 21 października, z parafii św. Stanisława Kostki udawała się pielgrzymka do trzech sanktuariów Maryjnych: Częstochowy, Gidli i Studzianny. Były trzy autokary – około 130 osób. Miałem poprowadzić tę pielgrzymkę na prośbę ks. prałata Boguckiego. On sam był wówczas w szpitalu. Wyjechaliśmy sprzed kościoła około godziny 6.00 rano. Była wśród nas m.in. siostra Justyna i ks. Andrzej Woronowicz (wtedy jeszcze diakon). To była niedziela. U domników w Gidlach poszliśmy do zakrystii, by napisać intencję modlitwy w czasie Mszy świętej. Mieliśmy problem – czy najpierw prosić o odnalezienie ks. Popiełuski, czy też o powrót do zdrowia ks. prałata Boguckiego? Ludzie uznali jednak, że najpierw trzeba poprosić o odnalezienie ks. Jerzego. Z tą samą intencją pojechaliśmy na Jasną Górę. Wracaliśmy już w godzinach wieczornych przez Studziankę. Księża filipińscy otworzyli nam kościół sanktuarijny (bazylikę) i także ogłosili naszą prośbę do Matki Bożej Świętorodzinnej. Osobiście uważam, że Matka Najświętsza nas wysłuchała. Ksiądz Jerzy wrócił i jest wśród nas. Tu jest jego miejsce i stąd działa nadal. Tu ludzie przeżywają na-



Dot. P. Ziębiński

wrócena. Tutaj modlą się o jego beatyfikację, która – mamy takie przekonanie – nastąpi w niedługim czasie. Chcielibyśmy wszyscy, żeby tego aktu mógł dokonać Jan Paweł II.

Był ksiądz świadkiem nawiedzenia grobu ks. Jerzego przez Ojca Świętego. Jakże wrażenia z tamtych chwil pozostały w pamięci i w sercu?

Najpierw Ojciec Święty modlił się

głęboko skupiony w kościele, kłęcząc przed Najświętszym Sakramentem. Zgromadzeni też trwali w modlitewnej ciszy i zadumie. Następnie Papież udał się do grobu ks. Jerzego. Było dla nas wielkim zaskoczeniem, gdy Ojciec Święty uniósł sutannę, przekroczył łańcuch kamiennego różańca i położył wiązankę kwiatów na grobie. Ukłęknął, ucałował płytę grobowca, jakby na po-

witanie ks. Jerzego. Kłęcząc na zielonej murawie, opierając dłonie o granitowy krzyż. Po dłuższej modlitwie ucałował ponownie płytę, pobłogosławił ją, jakby na pożegnanie Kapłana Męczennika. Potem Ojciec Święty pobłogosławił dzwon imieniem *Jerzy*.

Dziękuję księdzu za to wymowne świadectwo o ks. Jerzym.

Rozmawiał: Jan Korcz

RECENZJA

Nie można zrozumieć tamtego czasu, pomijając Jego osobę. Nie sposób pojąć tego, co się wydarzyło w tamtym miejscu ignorując, Jego postać. Czymś niemożliwym jest dotarcie do przeżyć i myśli ludzi tamtego czasu i miejsca bez odniesienia się do tego, jak On żył i jak On zmarł.

Zapis zbrodni

Chodzi o polskie lata osiemdziesiąte i bestialsko zamordowanego księdza Jerzego Popiełuszkę. Jedno z drugim jakże ściśle związane. Jednego nie da się oddzielić od drugiego. W sam głębi tego niezwykłego splotu, węzła wydarzeń mających znaczenie, przecież jeszcze nie tylko historyczne, wchodzi książka **Krzysztofa Kąkolewskiego Książd Jerzy w rękach oprawców**.

Kąkolewski, od *Jak umierają nieśmiertelni do Diamentu odnalezionego w popiele i Umarłego cmentarza*, nie stroni od kontrowersyjnych tematów ujmowanych w równie kontrowersyjny sposób. Odważnie szuka prawdy ukrytej za mnogością faktów, informacji, relacji w głębiach ludzkiej psychiki, w zawiłościach ludzkiej motywacji. Wszystkie te zabiegi prowadzą do wysuwania jego własnych, jednoznacznych, odważnych hipotez mających tłumaczyć przebieg wydarzeń, których sam Kąkolewski broni w sposób bezkompromisowy.

To, co było charakterystyczne dla innych książek Kąkolewskiego, widoczne jest i w *Książd Jerzy w rękach oprawców*. Kąkolewski nie rzuca słów na wiatr i w pełni stara się przedstawić to, co zapowiedział w podtytułach, czyli *rzeczywiste przyczyny i przebieg porwania, i zamordowania księdza Jerzego Popiełuszki*. Na podstawie powszechnie

znanych faktów i informacji, do których sam dotarł, konstruuje własną hipotezę mającą tłumaczyć przyczyny zamordowania księdza Jerzego Popiełuszki.

W jego hipotezę można wierzyć albo nie. W każdym razie przedstawiona przez niego rekonstrukcja wydarzeń jest na pewno krokiem w procesie zbliżania się do prawdy o tych tragicznych wydarzeniach. Wartość tej książki nie wyczerpuje się jednak w warstwie ścisłe dokumentalnej. Jest też ona prawdziwym freskiem historycznym o rzeczywistości *stanu wojennego* i późnego komunizmu. Pod piórem Kąkolewskiego tragiczna śmierć księdza Jerzego stała się perspektywą, dzięki której można oglądać znacznie rozleglejszy obraz. Obraz jakże przejmujący, gdyż miliony ludzi, którzy byli jego bohaterami i statystami jeszcze żyją. Zobaczyć tu można i pontyfikat Jana Pawła II, jego pielgrzymki do Polski, rozgrywki w łonie partyjnych władz, a także tragiczną śmierć Grzegorza Przemyska. W szczególności w przedstawieniu tej ostatniej i wszystkich okoliczności związanych z nią (oskarżenie sanitariuszy o spowodowanie śmierci Przemyska) udało się ukazać Kąkolewskiemu demonizm tamtej rzeczywistości.

Sprawa księdza Jerzego Popiełuszki nie jest zakończona. Toczy się w Watykanie proces jego beatyfikacji.

Mord na Nim wciąż jest w dużej mierze tajemnicą. Nie znamy wszystkich sprawców i okoliczności. W jednym z wywiadów, których ks. Popiełuszko udzielił (*Kapelan robotników*, w: *Doktynięcie Boga*), mówił: *Będę wśród swoich robotników, dopóki tylko będę mógł*. Bo przecież sprawa księdza Popiełuszki to sprawa opieki i przejęcia się losem odrzuconych, przesładowanych i osamotnionych. Dla tych wartości poświęcił życie, i wierność wobec tych wartości jest nadal czymś ważnym i aktualnym.

Grzegorz Pyszczek

Krzysztof Kąkolewski, Książd Jerzy w rękach oprawców. Rzeczywiste przyczyny i przebieg porwania, i zamordowania księdza Jerzego Popiełuszki; Wydawnictwo *von borowiecky*, Warszawa 2004



W jesienny poranek kolorowe liście spadają na grób księdza Jerzego Popiełuszki, a Ukryżowany otacza ramionami żoliborskie sady. Dwadzieścia lat minęło od czasu, kiedy wraz z księdzem Jerzym modliliśmy się tu na mszach za Ojczyznę...

Przemoc i kłamstwa

Dwadzieścia lat temu czekaliśmy na Jego powrót, a potem plakaliśmy na Jego pogrzebie. Dobre ręce kładą kwiaty, zapalają znicze. Od dwudziestu lat Jego grobu pilnują wolontariusze ze straży kościelnej. Na miejscu, gdzie się modlił i pracował, powstało sanktuarium niosące trudne przesłanie św. Pawła: *Dobrem zło zwyciężaj!* Zwyciężyć dobrem zło – tak dziwnie brzmi w dzisiejszych czasach, kiedy powstają zbrojne koalicje do walki ze złem. Na krucjaty ze złem wyruszają armie uzbrojonych po zęby żołnierzy. Czołgi, samoloty i rakiety prowadzą niekończącą się wojnę. Aż dziwne, że jeden skromny kapłan w walce ze złem dokonał tak wiele. Zasada stosowana przez ks. Jerzego była bardzo prosta. Starał się pomagać każdemu, modlił się za swoich przesładowców. Mówił prawdę. Zamordowano Go, ale On nie przegrał. System opierający się na kłamstwie i przemocy upadł kilka lat po jego śmierci.

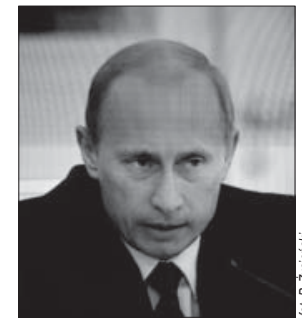
We współczesnym świecie, który tak się boi terroryzmu, mało kto pamięta słowa św. Pawła. Kuszone przez diabła grupki straceńców obmyślają zemstę i giną z hałasem pod okiem telewizyjnych kamer, ciągnąc za sobą przypadkowe ofiary: starców, kobiety i dzieci. Krew niewinnych dobrze się sprzedaje: w polityce i telewizji. O ofiarach wkrótce zapomnimy.

Takie myśli przychodziły mi do głowy, kiedy czytałam relacje wydarzeń ze szkoły w Bieslanie. Bieslan to niewielkie 35-tysięczne miasto w kontrolowanej przez Rosję Osetii. Szkoła ogromna: na ponad tysiąc dzieci, budowla z czasów radzieckich. 1 września na otwarcie roku szkolnego zgromadzili się tam nauczyciele, rodzice i dzieci. I wtedy zaatakował oddział terrorystów, biorąc zakładników. Na miejscu ataku zapanał niesłychany chaos. Nie wiadomo: kim byli terroryści i czego żądali?

Jedni twierdzili, że grupą dowodzili Rosjanie, inni widzieli Czeceńców, a nawet Arabów i Murzyna. Siły rosyjskie niby prowadziły jakieś pertraktacje, ale od początku było wiadomo, że zaatakują – nie licząc się z zakładnikami.

Tak też się stało. 3 września siły rządowe zaatakowały zmasowanym ogniem. Zginęły setki dzieci, pozostałe ranne trafiły do szpitali, w których, jak zwykle na biednej prowincji, nie było lekarstw, a nawet środków opatrunkowych. Ile dzieci zginęło – to rosyjska tajemnica państwowa. Krystyna Kurczab-Redlich, pisząca dla *Rzeczpospolitej*, podaje, że *służby federalne zabierały lekarzom telefony komórkowe, żeby ta wiadomość nie przedostała się na zewnątrz*. Czy za atakiem na szkołę w Bieslanie stali czeceńscy terroryści? Rosyjskie służby bezpieczeństwa potwierdzają te przypuszczenia. Krystyna Kurczab-Redlich przypomina jednak, że na miejsce zamachu nie dopuszczono niezależnych dziennikarzy specjalizujących się w problematyce czeceńskiej. Andrzej Babicki został aresztowany na moskiewskim lotnisku pod zarzutem posiadania materiałów wybuchowych. Annę Polittkowską próbowano otruć w samolocie lecącym na Kaukaz. Szukanie prawdy we współczesnej Rosji to zajęcie bardzo ryzykowne. Nic dziwnego, że 40 proc. dziennikarzy nie tęskni za wolnością mediów. W ogólnej populacji jest jeszcze gorzej. Ponad 70 proc. Rosjan nie chce znać prawdy i domaga się powrotu cenzury.

Aleksander Solżenicyn w eseu *Żyj bez kłamstwa!* doradzał swoim rodakom: *Przemoc nie ma innej osłony prócz kłamstwa, kłamstwo zaś może się utrzymać jedynie dzięki przemocy. Nie co dzień i nie na każde barki kładzie przemoc swoją ciężką łapę: żąda od nas tylko ukorzenia się przed kłamstwem... codziennego uczestniczenia w kłamstwie, i na tym polega cała ta wierno-*



for. P. Zięteński

poddaćność. I tu jest właśnie tak lekceważony przez nas, najprostsz, najbardziej dostępny klucz do naszego wyzwolenia: osobiste nieuczestniczenie w kłamstwie...

Ludmiła Lwowa, korespondentka rosyjskiego radia informacyjnego z siedzibą w Warszawie, ma własną metodę dochodzenia prawdy i pretensję do polskich mediów, że interesują się *wyłącznie sensacją*. Ludmiła Lwowa i jej redakcyjni koledzy mają żal do polskich dziennikarzy, że za wszystko obwiniają prezydenta Putina. Dziennikarze rosyjscy, koledzy p. Lwowej, prowadzą dziennikarskie śledztwa, ale do tej pory nie wiedzą, kto odpowiada za tragedię podwodnej łodzi atomowej *Kursk*. Dlaczego zginęło tylu ludzi w teatrze na Dubrowce? Kto wysadzał domy w Moskwie i Wołgogonsku? Federalne Służby Bezpieczeństwa wskazują na Czeceńców. Usłudni dziennikarze powtarzają to w mediach. Nic dziwnego, że już teraz słychać zapowiedzi wprowadzenia stanu wyjątkowego.

Michaił Markielow, członek sztabu operacyjnego w Bieslanie, który tak nieudolnie kierował akcją, oznajmia w rozmowie cytowanej przez *Rzeczpospolitą*: *– Uwżam, że na terytorium Rosji powinien być wprowadzony stan wyjątkowy. Na północny Kaukaz należy skierować więcej wojska. Terroryści zaatakowali nas brutalnie, a my powinniśmy odpowiedzieć jeszcze ostrzej...*

Michaił Markielow, prawosławny, nie czytał Solżenicyna ani św. Pawła...

Izabela Sikora



fot. W. Świdorski

W nawale atakującej nas na co dzień makabry, sączącej się ze środków społecznego przekazu – zarówno w charakterze informacji, jak i rozrywki (mam tu na myśli przede wszystkim emitowane przez telewizję tzw. filmy grozy, kryminały itd.) – trudno już o jakiś przekraczający zwykłą ludzką wyobraźnię i budzący powszechną grozę wyczyn, który byłby zdolny skupić na sobie, chociażby na krótko, uwagę świata. Ostatnim takim deklitem był na pewno zamach na szkołę w prowincjonalnym, garnizonowym mieście osetyńskim.

Manipulowanie tragedią

Z perspektywy czasu, który już upłynął od tragedii w osetyńskim mieście, nadal pozostaje otwartym pytanie: **kto naprawdę stał za zamachem?** Do jego postawienia skłania też egzotyczny skład narodowościowy członków terrorystycznego komanda oraz brak znajomości inspirującej ich ideologii, itp.

Mieszkańcy Osetii od dawna byli znienawidzonym przez sąsiadów moskiewską forpocztą na Kaukazie. Znamienią jest okoliczność (mało znana światu): wiele dzieci tej szkoły w Biesłanie pochodziło z rodzin, których ojcowie zatrudnieni byli w różnych formacjach **SB**. To byli ci zrozpaczeni, uzbrojeni cywile, którzy niesformnie, u boku wojska, biegali wokół szkolnego budynku. O nich to przecież powiedział do kamery telewizyjnej zażenowany pułkownik, jeden z nominalnych dowódców sił otaczających szkołę, że *są to ludzie posiadający broń legalnie, bo to ich broń służbowa...* Dlatego niestety jest im wskazać na Czeczenów jako na sprawców.

Straszna tragedia. Zbrodnia dokonana na niewinnych dzieciach. Takie jest jednoznaczne odczucie ludzi z kręgu cywilizacji zachodniej. Potępienie musi mieć jednak swoją miarę i być zgodne ze zdrowym rozsądkiem. Rosja to nie

Europa w naszym rozumieniu – Kaukaz to nie Hiszpania czy Portugalia.

W czasie obław organizowanych przez wojska rosyjskie we wsiach czeczeńskich nadal torturuje się i zabija każdego chłopca powyżej trzynastego roku życia. Uważa się go już za mężczyznę, zatem traktuje jak potencjalnego partyzanta. Każdą dziewczynę w tym wieku można już gwałcić, a w razie przewidywania jakichś *kłopotów* – po prostu zabić. Na przykład bez pośpiechu zarznąć bagnetem w sposób wyrafinowany: tnąc ofiarę od narządów rodnych przez brzuch do piersi. (Polacy powinni tu sięgnąć pamięcią do wydarzeń z okresu *Powstania Warszawskiego*: członkowie niemieckich formacji pomocniczych rekrutowano z obozów dla jeńców sowieckich. Trzeba przypomnieć zbiorowe rzezie dokonywane, np. w okolicy Zamku Królewskiego, na bezbronnej ludności stolicy przez Azerbejdżan pod dowództwem płka Alimowa.)

Czeczeńskim dzieciom podrzucia się zabawki nafaszerowane ładunkiem wybuchowym – nikt z okupantów nie miał nad nimi litości. Ponad 300 tys. Czeczeńców uciekło za granicę. W dziesiątkach pustych wsi są tylko stare kobiety. Na skutek traumatycznych przeżyć nie pamiętają nawet, jaki jest obecnie dzień

tygodnia czy miesiąc. To tylko ludzkie cienie poruszające się jak automaty.

Sięgając pamięcią wstecz, w niedaleką przeszłość, można uznać, że za poprzednika obecnego prezydenta Rosji rozdano po pijanemu, za symbolicznego rubla, główne gałęzie gospodarki rosyjskiej. Tak wyglądała *prywatyzacja* byłego sowieckiego imperium. Jej beneficjentami byli obecni *oligarchowie*, przeważnie *jewrejskoko* *proischożdenia*, zniechęceni przez ubogie społeczeństwo. *Wolodia spasiel* (zbawiciel) – powtarzały stare babki w różnych częściach Rosji na wieść, że Putin nie ugiął się nawet przed rezydującym w Izraelu zarządem firmy, posiadającej znaczną część udziałów naftowego koncernu *Yukost* – lecz za zaślęgiści i matactwa podatkowe koncernu polecił osadzić oligarchę w więzieniu *Matroskaja tiszyna* (*Marynarskie zacisze*) i zapowiedział wyegzekwowanie długu z majątku firmy. Na pewno nie przysporzyło to, w określonych kręgach kapitału, przyjaciół *silnemu człowiekowi* Rosji, który zapowiedział kolejne tego rodzaju przedsięwzięcia. Można się z dużą dozą prawdopodobieństwa domyślać, że po to, by go skompromitować przed światem, przedstawiciele tych kręgów na pewno byłiby skłonni do niejednej prowokacji.

Lecz także jeśli uwierzysz w ogłoszony urzędowo *trop czeczeński* tragedii w Biesłanie, w grę będzie wchodziła nafta. Rosji bowiem nie zależy na jednej tysięcznej jej terytorium, jakie zajmuje Czeczenia, **lecz na całkowitej kontroli nad systemem dystrybucji kaukaskiej ropy**. Kierując się rozsądkiem, spostatrzegamy, że, tak czy inaczej, to właśnie machinacje związane z naftą stały się pierwotną przyczyną śmierci dzieci i dorosłych w szkole w Osetii

Przy okazji w straszny sposób, przy niewielkim oporze ze strony tzw. *wolnego świata*, przypiecętowany został zapewne także los Czeczenii. Putin ma teraz całkiem rozwiązane ręce i **oficjalnie walczy z międzynarodowym terroryzmem** – sposobami dobrze wypróbowanymi na Kaukazie przez Moskali już w czasach Cesarstwa. Co będzie potem z Czeczenią?

Cezary Bunikiewicz

Karmiony przez media Polak zadaje sobie pytanie: jak to się dzieje, że Rosja, kurczowo trzymająca w garści Czeczenię, wbrew jej niepodległościowym dążeniom, jednocześnie wspiera wysiłki odłączenia się od Gruzji Abchazji i Południowej Osetii. Rosja jedną ręką trzyma Czeczenię w swym władaniu, a drugą wywala analogicznie autonomiczne regiony Gruzji.

Rosyjskie niekonsekwencje

Rosja wspierała muzułmańską Adżarię, aby ta też wyzwoliła się spod panowania Gruzynów, choć w Adżarii mieszkają tacy sami Gruzini jak w Gruzji – tylko wyznania muzułmańskiego.

Abchazowie i Południowi Osetyńcy dla uzyskania militarnego i politycznego poparcia Rosji dają do zrozumienia, że po **zruceniu gruzińskiego jarzma** radzi by wejść w skład Rosji. Jak bardzo jest to szczerze, można wątpić, ale w pierwszym rzędzie należy pozbyć się Gruzynów.

W stosunku do Adżarii dywersja się nie udała. Gdyby się udała, Rosja miałaby enklawę swoich wpływów na granicy z Turcją. Ale dla Rosji enklawy to nie nowina: jak dobrze Polacy o tym wiedzą, mając na swej granicy obwód nazwany imieniem jednego z sygnatariuszy rozkazu mordy katyńskiego.

Spędziłem pewien czas w Abchazji i rozmawiałem z wieloma Abchazami w czasach, gdy o pełną szczerzość było trudno, a odwagą było już stwierdzenie (śmiesznie rzecz: powszechne): *– Nie jesteśmy specjalnie uszczęśliwieni tym, że należymy do Gruzji, i w istocie dla nas byłoby wszystko jedno, czy będziemy należeć do Rosji, czy do Gruzji.*

Thumacząc to z abchaskiego na nasz język, wynikałoby, że najbardziej odpowiadałaby Abchazom niepodległość, czego obawiano się mówić wprost polskimi literami, bo jako taki przebywałem w Abchazji.

Inaczej było w Azerbejdżanie. Azerowie ośmielali się mi mówić, że marzą i śnią o niepodległości (utraconej), a ja, uważając moich rozmówców za

prowokatorów (choć zapewne nimi nie byli, ale strzeżonego Pan Bóg strzeże), usiłowałem im mitygować, stwierdzając, że w ZSRR dzieje im się świetnie, bo mogą jeść szaszłyki i jesiorty.

Wynikałoby z tych rozważań, że Rosjanie są narodem bardzo dwulicowym: *My tak Czeczeńcom, a Gruzinom akurat niet*. Co oznaczałoby: mamy dwie przeciwstawne moralności polityczne.

Polak powinien jednak starać się zrozumieć i Rosjan. To, co wyprawia się z Czeczeńcami, to nie *polityczna moralność*, lecz krwawa dyktandka. Powiedzmy teoretycznie, że pozwolono by Czeczeńcom wybić się na niepodległość. Cóż by to był za fatalny przykład dla całej Federacji Rosyjskiej, przecież *za nimi pójdą inni*. Wiele świadczy o tym, że mogliby pójść, a takich, których mógłby *zdemoralizować* ten przykład, jest cała piętnastka: Baszkiria, Buriacja, Dagestan, Kabardyno-Balkaria, Kałmycja, Karelia, Komi, Marycja, Północna Osetia, Jakucja, Tatarstan, Tuwa, Udmurcja Czuwaszja i Mordwa.

To 5 milionów kilometrów kwadratowych i 25-30 milionów ludności. Jest wśród tych kandydatów do wzorca czeczeńskiego jeden olbrzym terytorialny – Jakucja, dwie republiki większe od Polski: Buriacja i Komi. Wśród tej piętnastki jest jedna republika zdegradowana z rangi związkowej do autonomicznej – Karelia (dawna Karelo-fińska), gdzie formował się fiński **PKWN** oraz taka Tuwa – przyłączona na warunkach autonomicznej *oblasti*, jaka awansowała do stopnia republiki autonomicznej,

a była do roku 1944 państwem *quasi*-niepodległym. Tuwinci (Tuwinczy) zorientowali się, że czas poprosić o przyjęcie do ZSRR. Poprosili i próśba została uwzględniona.

Biorąc pod uwagę terytoria tych republik i ich bogactwa przyrodnicze i mineralne, to naprawdę nie przelewką. Rosja boleśnie odczuła utratę republik związkowych, z większością których montuje teraz różnorakie przymierza mniej czy bardziej ścisłe, z bazami wojskowymi włącznie, zlepiając nową Wspólnotę Państw Niepodległych. Byłoby dla Rosji ideałem, aby niepodległość ta była taka jak ongiś niepodległość Mongolii a szczególnie Tuwy.

Czy rzeczywiście po ewentualnym wyłuskaniu się Czeczenii z Rosji można by się spodziewać piętnastokrotnej lawiny czy reakcji łańcuchowej? Raczej nie chodzi tu o lawinę, ale o mniej czy bardziej szybkie, bądź powolne, dojrzewanie. Wiele zależy tu od procentu zamieszkałych w danej republice Rosjan i stanowiąc przez nich obsadzanych.

Mamy przykład płynący z niepodległej Mołdawii, gdzie nastąpił podział na Republikę Naddniestrzańską (Tyraspol) i Mołdawię właściwą. Zamieszkała nad Dniestrem w zwartej masie ludność rosyjska (i ukraińska), całą siłą popierana przez Moskwę jej armią i sprzętem wojskowym, broniła granic separatystycznej republiki z obawy przed *romanizacją* (czytaj: rumunizacją).

Rosja mogłaby wziąć wzór z Francji, która zęgnęła się ze swymi koloniami na drodze referendum. I co się okazało? Tylko jedna Gwinea wypięła się na Francję, reszta opowiedziała się za niepodległością z utrzymaniem więzów. Francja zareagowała na niechęć Gwinei zaprzestaniem pomocy dla tego kraju. Gwinea jęknęła, ale zyskała subsydia od ZSRR na zasadzie politycznej przekory i rywalizacji.

Jak widać, Rosji jednak bardziej opłaca się być krajem objętym terroryzmem czeczeńskim i islamskim niż okazać słabość i wycofać się z Czeczenii, pozwalając jej stać się drugą Gwineą.

Marek Antoni Wasilewski

FUNDACJA DZIEŁO NOWEGO TYSIĄCLECIA

Piątek, 13 sierpnia. Jest pochmurnie, pada deszcz. Na Dworcu Centralnym w Warszawie widać, jak pociągi przyjeżdżają, odjeżdżają, ktoś niecierpliwie się w kolejce po bilet, ktoś biegnie na peron. Z pociągu relacji Szczecin Główny – Warszawa Centralna o godzinie 6:00 rano wysiada grupa zaspanej młodzieży – przeciągają się, rozglądają wokół. Podbiega do nich dziewczyna w żółtej koszulce z napisem **WAWA 8B**. Za chwilę cała grupa wkłada podobne bluzki i na peronie robi się słonecznie. Pierwsi uczestnicy letniego obozu stypendystów **Fundacji Dzieło Nowego Tysiąclecia** przyjechali do stolicy.

WAWA 8B

Po zeszlorzonym obozie w Krakowie, Warszawa – tego dnia pochmurna i deszczowa – nie wita młodych zbyt serdecznie. Uczestnicy obozu podnoszą wysoko głowy – tu Pałac Kultury i Nauki, tu teatr, tam ministerstwo – konfrontują rzeczywistość z obrazami znanymi ze szklanego ekranu. – *Wcale mnie to nie zachwyca. Wszystko jest takie duże i betonowe* – mówi Aneta z Beskidu Żywieckiego, rozglądając się bezzadnie idąc Alejami Jerozolimskimi. Kilka przystanek: z tramwaju do autobusu, i znowu do tramwaju, zanim dojadą do swojego ośrodka, jednego z dziewięciu, w których będą mieszkać przez najbliższe dwa tygodnie. Szczęśliwcy już pierwszego dnia zaliczają przejazdżkę metrem.

Na miejscu, wśród powszechnie panującego zamieszania, przenoszenia bagażu, wpisów na listę obecności – poszukiwanie twarzy znajomych z zeszlorzonego obozu. Twarze z najodleglejszych części Polski, których nie widziało się przez dwadzieścia miesięcy. Twarze ze zdjęć przesyłanych mejlami i pocztą tradycyjną. Pa-

wel rzuca się na szyję jednej z wolontariuszek, która w pierwszej chwili nie rozpoznaje w młodym mężczyźnie chłopca z poprzedniego roku. – *Ale wyrosłeś! No, no...* – śmiech. Za oknem nadal pada, ale wśród stypendystów coraz radośniej. Szum i rozmowy, niecierpliwie pytania, co u ciebie, jak matura, nie widziałaś tej Anki z Katowic?

WAWA 8B – Warszawa Ośmiu Błogosławieństw. Skoro w Toronto Ojciec Święty rzucił młodzieży wyzwanie, mówiąc, by ewangeliczne błogosławieństwa stały się mapą życia, stypendyści postanawiają to sprawdzić i czynią je hasłem przewodnim tegorocznego letniego obozu. Nieco przewrotnie na miejsce wakacyjnego wypoczynku zostaje wybrana Warszawa, która nie jest zaiste kurortem wypoczynkowym. Spędzone tu dni pokazą, czy z obcowania stolicy ze zdolną młodzieżą z miasteczek i wsi całej Polski wyplynie wzajemne błogosławieństwo.

Pani Aleksandra Niemczykowa, córka Stanisława Cata Mackiewicz, łączniczka **AK**, działaczka **Spolecznej Or-**

ganizacji Samopomocy i Frontu Odrodzenia Polski ma poważne wątpliwości przed spotkaniem z młodymi zaplanowanym na jeden z wieczorów: – *Czy teraz młodzież chce słuchać o tamtych wydarzeniach? Ja mam poważne obawy* – zastanawia się, kręcąc róg wełnianego szala, jak mała dziewczynka. Taką niedużą dziewczynką była, kiedy rozpoczęła się wojna. Siedemnastoletnia Ola była rówieśniczką stypendystów, którzy od razu to odnotowują i zasypują starszycę gradem pytań. Spotkanie przedłuża się już znacznie, a nikt nie zamierza się żegnać. W końcu młodzież zaprasza swojego gościa na wspólną Mszę Świętą. Pani Aleksandra w drodze do domu przymierza żółtą koszulkę. – *Zaskoczyli mnie. Jestem ciekawa, co też z nich wyrośnie* – uśmiecha się do wolontariusza.

Środa, 18 sierpnia – program uniwersytecki. Część stypendystów spędza dzień na **Politechnice Warszawskiej**. Wśród nich jest Marta z diecezji sandomierskiej. Na wykładzie uważnie śledzi tajemnicze znaki na tablicy, kiwa głową. – *Marzę o elektrotechnice. Trochę nietypowe dla dziewczyny, ale to może być potem atutem* – mówi. Obawia się, czy zdola przygotować się do egzaminów – w jej szkole fizyka jest na bardzo niskim poziomie i sama musi nadrabiać różnice programowe. – *W tym roku drugi raz spróbuję na olimpiadzie* – oświadcza po opuszczeniu **Politechniki**.

– *Cóżście mi uczynili oczyma moimi!* – żartuje Mateusz z diecezji przemyskiej, uczestniczący w wykładzie prof. Władysława Bartoszewskiego w Auditorium Maximum **Uniwersytetu Warszawskiego**. Mateusz marzy o teatrolologii: – *I tylko w Warszawie, tutaj teraz dzieją się w teatrze najciekawsze rzeczy. Na wykładzie przez chwilę poczułem, jakbym już tu studiował. Chyba nie doczekam się końca szkoły średniej!*

W drodze powrotnej i przez następne dni wielokrotnie wracają tematy planów na przyszłość. Ktoś mówi o germanistyce, inny o historii, niektórzy o medycynie. Po całodniowej wizycie



FUNDACJA DZIEŁO NOWEGO TYSIĄCLECIA

na **SGGW** Paweł z diecezji koszański-kołobrzeszkiej jest zachwycony: – *Cieszę się, że aż tyle mogłem tam zobaczyć. Dotąd trochę się bałem: taka uczelnia i w największym mieście. Bardzo było mi potrzebne to spotkanie, oswoilem się* – mówi potencjalny student weterynarii.

Wieczory to czas odpoczynku, zwłaszcza dla wolontariuszy z Maltańskiej Służby Medycznej i wolontariatu przyjaźni, którzy czuwają nad bezpieczeństwem młodzieży, dbają o zaopatrzenie, przygotowują zajęcia, są wychowawcami. W większości mają tylko kilka lat więcej od stypendystów. Zwykle są jeszcze na studiach i mogliby na sto innych sposobów wykorzystać wakacje. – *Dla mnie to nie jest zwykły wolontariat* – mówi Weronika z Lublina, studentka czwartego roku politologii. – *To tak, jakbym pomagała budować w ludzkości pomnik, o którym mówił Ojciec Święty. To poświęcenie niesie błogosławieństwo również dla mnie* – tłumaczy.

Jest katoliczką, ale razem z nią przyjechał Krzysiek, który nie jest wierzący: – *Dość mnie w życiu spotkało dobrego. Teraz chcę coś dać z siebie...*

Inni podają swoje powody, dla których nieodpłatnie poświęcają dwa tygodnie wakacji, często biorąc na siebie dużą odpowiedzialność. Większości jednak za całą odpowiedź wystarczy wzruszenie ramionami, jakby ta decyzja była czymś najbardziej naturalnym i nie wymagającym tłumaczenia. – *Chciałam i już* – mówi Dorota, która wolontariuszką była także na zeszlorzonym obozie w Krakowie.

Wtorek, 24 sierpnia, Kościół św. Krzyża. Pożegnalna Msza Święta. Poza oficjalnymi podziękowaniami, wiele tych osobistych. Wymienianie adresów, numerów telefonów. Młodzi żegnają się ze sobą, ale także z miastem. Wojtek z diecezji pelplińskiej: – *No cóż, podaję się. Nie myślałem, że mi się spodoba Warszawa*.

9 – 10 PAŹDZIERNIKA – DZIEŃ PAPIESKI 2004

Wzorem lat ubiegłych obchody rozpoczną się w sobotę od konferencji naukowej na temat **Jan Paweł II – Pielgrzym Pokoju**. Organizowana konferencja, we współpracy z Uniwersytetem Warszawskim, zgromadzi znanych ludzi nauki, którzy w swoich wystąpieniach odniosą się do tematu tegorocznego **Dnia Papiesskiego**. Gościem z Watykanu będzie o. Pasquale Borgomeo SJ, dyrektor Radia Watykańskiego.

9 października wieczorem odbędzie się gala rozdania **Nagród TOTUS** na Zamku Królewskim w Warszawie, transmitowana przez Program 2 TVP.

W niedzielę 10 października modlitwa w intencji Ojca Świętego rozpocznie się od Mszy św. w Bazylice św. Krzyża w Warszawie o godz. 9:00, transmitowanej przez Polskie Radio. Msza św. dla Polonii zagranicznej, celebrowana przez Księdza Prymasa, o godz. 13:00 będzie transmitowała **TV Polonia**.

Najważniejszym wydarzeniem ogólnopolskich obchodów będzie wieczor-

ne połączenie między miastami, które Jan Paweł II odwiedził 25 lat temu, podczas swojej pierwszej pielgrzymki do Ojczyzny. **TVP 1** zrealizuje o godz. 20:00 telemost, dzięki któremu do modlitwy gromadzącej wiernych w Warszawie, Krakowie, Częstochowie, Gnieźnie, Nowym Targu i Oświęcimiu będą mogli przyłączyć się telewizorowie w całej Polsce. Połączenie to zostanie wkomponowane w koncert **Dnia Papiesskiego**, odbywający się na Placu Zamkowym w Warszawie.

Dzień Papiesski 2004 będzie miał, jak co roku, swój wymiar solidarności z potrzebującymi – towarzyszyć mu będzie zbiórka funduszy na stypendia **Fundacji Dzieło Nowego Tysiąclecia**. Zaproponowany w tym roku sposób przeprowadzenia zbiórki przykościelnej – jej wyraźne oddzielenie od publicznej zbiórki ulicznej – oddaje pełny nadzór nad jej przeprowadzeniem księdom koordynatorom.

Równolegle, choć na innych zasadach, odbywać się będzie zbiórka ulicz-

Łukasz, wychowawca grupy chłopców z liceum: – *Obawiam się, że nie powstrzymam jutro lez. Dzisiaj jeden z moich chłopców podziękował mi za wychowawstwo. Pomyślałem, że to chyba ja się od nich więcej nauczyłem* – uśmiecha się do siebie.

Środa, 25 sierpnia. Odjechał ostatni autobus transportujący stypendystów do domów. Przy Barbakanie ktoś zawiesił charakterystyczne logo uczestnika obozu. Kobieta na Starówce krzyczy, jak dawniej, że obwarzanki i pańska skórka. Pekin stoi, jak stał i metro jeździ co cztery minuty... Nie się nie zmieniło, jakby Warszawa nie spozstrzegła, ile wniosła w życie tysiąca młodych ludzi, którym urosły skrzydła – uwierzyli, że świat poza ich małymi miastami i wioskami jest też dla nich, jeśli tego zechcą. Może tak właśnie i na miasto spłynęło błogosławieństwo, że dzieląc się swoim bogactwem, nic z niego nie straciło.

Magdalena Rówińska

NAD NAUCZANIEM OJCA ŚWIĘTEGO

Już od 26 lat podziwiamy *dynamikę łaski*, która zaistniała w pontyfikacie Jana Pawła II. Chociaż dostrzegamy ogromne zmęczenie i wyniszczenie, tak wyraźnie wyciśnięte na osobie Papieża, to jednak jesteśmy przekonani, że Ten, dla którego działanie Ducha Świętego i postuszeństwo Jego natchnieniem jest tak ważne, nie doznał zniszczenia swej osobowości, doświadczył raczej jej wywyższenia i udoskonalenia.

Płomień miłości

Z głębokiej wiary, dostrzeganej w czytelnym dla wszystkich świadectwie Ojca Świętego, wypływa ewangeliczny ogień, będący żywym płomieniem miłości. Spotkanie z takim działaniem Ducha Świętego poprzez posługę Papieża wyzwoliło w wielu wierzących w Boga pragnienie odnowy swojego życia według Prawdy ewangelicznej, zaś wśród obojętnych religijnie chęć odnalezienia sensu życia. Chrystusowe słowa: *Przyszedłem ogień rzucić na ziemię* w posłudze Jana Pawła II stały się ciętlem.

Niestety, ów płomień miłości niektórych razi, dla innych zdaje się być – według ich przekonania – zagrożeniem. Więc na różne sposoby podejmowano działanie przeciwne pasterskiej posłudze Papieża. Jednak płomień miłości okazał się mocniejszy. Próba zgaszenia światła pontyfikatu Jana Pawła II, tak misternie przygotowana przez wielkich tego świata 13 maja 1981 r., okazała się bezowocna. Maryja, której Jan Paweł II wyznał: *TOTUS TUUS*, przybyła z pomocą. W świetle tej cudownej interwencji Pani Fatimskiej Papież dokonał zawierzenia całego świata Matce Bożej.

Cały świat niepokojąco pyta: co dzieje się ze współczesnym człowiekiem; w jakim kierunku podąża, skoro jest zdolny do takich osiągnięć i jednocześnie takich okrucieństw? Dlaczego miłostna relacja między nim a Stwórcą doznaje tak wielu i w różnych wymiarach kryzysów? Czy człowiek, który żyje tak, jakby Boga nie było, ma jeszcze możliwość powrotu do godności dziecka Bożego, tak zachwycająco ujętej i przekazanej w Psalmie VIII?

W swojej encyklice *Redemptor hominis*, która pojawiła się już w pierwszych dniach pontyfikatu, Papież odpo-

wiada: *Człowiek, który chce zrozumieć siebie do końca – nie wedle jakichś tylko doraźnych, częściowych, czasem powierzchownych, a nawet pozornych kryteriów i miar swojej własnej istoty – musi ze swoim niepokojem, niepewnością, a także słabością i grzesznością, ze swoim życiem i śmiercią, przybliżyć się do Chrystusa. Musi niejako w Niego wejść z sobą samym, musi sobie przyswoić, zasymilować całą rzeczywistość Wcielenia i Odkupienia, aby siebie odnaleźć...*

Czy zatem współczesny człowiek, który z własnej winy tak bardzo oddalił się od swego Stwórcy, ma jakakolwiek szansę powrotu do swego piękna? Odpowiedź znajdujemy w kolejnej encyklice Papieża *Dives in misericordia*: *Objawiona w Chrystusie prawda o Bogu, który jest Ojcem miłosierdzia (2 Kor 1,3), pozwala nam widzieć Go szczególnie bliskim człowiekowi wówczas, gdy jest on nawiedzany cierpieniem, gdy jest zagrożony w samym rdzeniu swej egzystencji i ludzkiej godności. I dlatego też wielu ludzi i wiele środowisk, kierując się żywym zmysłem wiary, zwraca się niejako spontanicznie do miłosierdzia Bożego w dzisiejszej sytuacji Kościoła i świata. Przynajmniej ich do tego zapewne sam Chrystus, działający przez swego Ducha w ukryciu ludzkich serc. Objawiona bowiem przez Niego tajemnica Boga, który jest Ojcem miłosierdzia, staje się w kontekście zagrożenia człowieka w naszej epoce jakby szczególnym wezwaniem skierowanym do Kościoła (nr 2).*

Odpowiedź ta jeszcze dobitniej zabrzmiała w ustach Papieża w Sanktuarium Miłosierdzia Bożego w Krakowie 17 sierpnia 2002 r.: – *Trzeba, aby wola-*



Jan G. Gałązka

nie o Boże miłosierdzie płynęło z głębi ludzkich serc, pełnych cierpienia, niepokoju i zwątpienia, poszukujących niezawodnego źródła nadziei – zakończona zawierzeniem całego świata Bożemu Miłosierdziu: Dlatego dziś w tym sanktuarium chcę dokonać uroczystego aktu zawierzenia świata Bożemu miłosierdziu. Czynie to z gorącym pragnieniem, aby orędzie o miłosiernej miłości Boga, które tu zostało ogłoszone przez pośrednictwo św. Faustyny, dotarło do wszystkich mieszkańców ziemi i napelniało ich serca nadzieją... Trzeba tę iskrę Bożej Łaski rozniecać. Trzeba przekazywać światu ogień miłosierdzia. W miłosierdziu Boga świat znajdzie pokój, a człowiek szczęście!

Ludzie jednak nie zawsze mają dość siły i błogosławionej determinacji, która pozwoli im zbliżyć się do Boga Miłosiernego. Są zatem potrzebne osoby, których świadomość wspaniałości i możliwości uzdrawiającej interwencji Boga podobna jest czterem osobom ewangelicznym, przynoszącym parali-

ka przed Jezusa (Mk 2,1-12). Ewangelia mówi nam, że *Jezus widząc ich wiarę oczyścił serce chorego i uzdrowił go*. Człowiek współczesny potrzebuje świętych, którzy zaniosą go przed Miłosiernego Boga, a On, ze względu na ich wiarę, udzieli im oczyszczenia z grzechu i dokona uzdrowienia zniszczonej natury ludzkiej.

Szczególną asystencję i pomoc świętych męczenników dostrzega Papież w podejmowanym trudzie nowej ewangelizacji: *Drodzy bracia – mówił podczas beatyfikacji 233 hiszpańskich męczenników 11 marca 2001 r. – przy wielu okazjach przypominałem o konieczności kultywowania pamięci męczenników. Ich świadectwo nie może iść w zapomnienie. Są oni najbardziej wymownym świadectwem prawdziwości wiary, która potrafi nadać ludzkie oblicze nawet najokrutniejszej śmierci i objawia swe piękno nawet pośród straszliwych cierpień. Konieczne jest, żeby Kościoły lokalne uczyniły wszystko, co możliwe, by nie zatracić pamięci o tych, którzy ponieśli śmierć męczeńską...*

W gronie pomagających człowiekowi – według zamysłu Boga – nie może zabraknąć aniołów. To im swoje lipcowe i sierpniowe katechezy w 1986 r. poświęcił Papież. W ostatniej, sierpniowej katechezie na temat aniołów powiedział: *Poznaliśmy prawdę, która winna leżeć na sercu wszystkim chrześcijanom: prawdę o istnieniu czystych duchów; stworzeń Bożych, które – początkowo dobre – na skutek grzesznego wyboru podzieliły się potem nieodwracalnie na aniołów światła i aniołów ciemności. I choć istnienie złych aniołów wymaga od nas stałej czujności, by nie ulec kuszeniu, to jesteśmy pewni, że Chrystus Odkupiciel otacza nasze życie swą zwycięską mocą, abyśmy sami mogli wyjść zwycięsko. Pomagają nam w tym skutecznie dobrzy aniołowie, orędownicy miłości Bożej, do których, nawraceni przez Tradycję Kościoła, wracamy się z modlitwą: Aniele Boży, stróżu mój, oświecaj mnie, strzeż, prowadź i kieruj mną, który zostałem powierzony twojej niebiańskiej opiece. Amen.*

ks. Jan Seremak CSMA

Pałac papieski w Castel Gandolfo znajduje się na terenie czterotysięcznej parafii św. Tomasza da Villanova. Kościół, którego autorem jest Bernini, znajduje się niedaleko papieskiej rezydencji. Od sześciu lat proboszczem parafii jest salezjanin ksiądz Waldemar Niedziółka. Poprosiliśmy go, aby opowiedział Czytelnikom *Powściągliwości i Pracy*, jak wygląda praca proboszcza Ojca Świętego.

Castel Gandolfo

Jak się znalazłem w Castel Gandolfo? Otóż sześć lat temu włoska prowincja salezjańska zwróciła się do polskiej prowincji z prośbą o pomoc. Tak się stało, że przełożeni z Warszawy wydelegowali mnie do tej pracy. Więc jestem. Doskonałe pamiętam moje pierwsze spotkanie z Ojcem Świętym. Przyjechałem tutaj 28 września 1998 r. Od razu, tego samego dnia, zostałem przyjęty przez Papieża. Prosiłem Go wtedy o modlitwę i błogosławieństwo dla mojej przyszłej pracy i parafii.

Być proboszczem Ojca Świętego w Castel Gandolfo nie jest łatwo. Przynosi to jednak bardzo wiele radości i oraz przepięknych chwil podczas różnych z Nim spotkań. W tym roku, dzień przyjazdu do Castel Gandolfo powiedział po polsku: *Kochani Castelani, papież bardzo lubi tutaj przebywać!*

Wielokrotnie uczestniczyłem w naszych uroczystościach parafialnych. Zazwyczaj brał udział w uroczystości Wniebowzięcia NMP. Ale w tym roku był jednak w Lourdes. Biorąc udział w uroczystościach, przybywał do naszego kościoła i przewodniczył Mszy świętej. Gdy przybywa do parafii na dłuższą, spotyka się parafianami, słucha ich, rozmawia z nimi. Nierzadko też jesteśmy zapraszani, jako wspólnota parafialna, do pałacu papieskiego. Ojciec Święty rozkłada dla parafii, co odbieramy jako szczególnie wyraz wiary z naszą parafią. Każdego roku przekazuje również jakiś dar dla parafii, co odbieramy jako szczególnie wyraz wiary z naszą parafią. Każdy taki dar od Niego jest dla nas bardzo cenny. Zazwyczaj jest to ornat lub naczyne liturgiczne.

Ojciec Święty ma niebawala pamięć.



Jan L. Osservatore Romano

Pamiętam, że – kiedy spotkaliśmy się rok później – pytał mnie o młodzież: ile tej młodzieży jest, jak uczestniczy w życiu parafialnym. Tradycja jest, że każdego roku zaprasza proboszcza na obiad. Muszę powiedzieć, że za każdym razem to bardzo wyjątkowe spotkanie przeżywa się tak, jakby odbywało się po raz pierwszy.

Należy zaznaczyć, że góry nadal służą poprawie samopoczucia i zdrowia Jana Pawła II. W porównaniu z zeszłorocznymi wakacjami, kiedy cały czas przebywał w Castel Gandolfo, widać wielką poprawę. Kiedy przybył tu tego roku 17 lipca i witałem Go wraz z parafianami, jak to już jest w zwyczaju, zamienił z nami kilka zdań, był uśmiechnięty i widać było, że odpoczął. Muszę podkreślić, że kiedy Ojciec Święty przybywa do Castel Gandolfo na wypoczynek, to miasteczko zaczyna tętnić życiem. Każdego roku przybywają tutaj Jego przyjaciele i znajomi z całego świata. Jak zawsze, również i w tym roku, obecni byli: ks. prof. Tadeusz Styczeń i prof. Wanda Półtawska.

ks. Jarosław Cielecki

Od pięciu lat na Placu Trzeciego Tysiąclecia w Gdańsku-Zaspie stoi pomnik Jana Pawła II. Ci, którzy znają historię jego powstania, twierdzą, iż jest on jeszcze jednym dowodem na to, że tylko Pan Bóg potrafi pisać prosto na krzywych ścieżkach ludzkiego życia.

Ty jesteś Piotr, czyli skała

Pamiętny dla Wybrzeża był dzień 12 czerwca 1987 r. Któż z nas, przedstawicieli średniego pokolenia, nie pamięta ołtarza na gdańskiej Zaspie w kształcie okrętu w budowie? Któż nie wspomina stojącego na symbolicznym mostku kapitańskim Ojca Świętego Jana Pawła II, który w trudnych latach zniewolenia komunistycznego zapewniał, że mówi o nas i za nas? Jednakże po latach rodzi się pytanie, kto z nas wziął sobie do serca przypominanie przez niego wówczas słowa św. Pawła: *Jedni drugich brzemiona noście!*?

Okazuje się, że jakby niezauważenie wyrosło pokolenie Polaków stojących u progu pełnoletności, którzy nie pamiętają tamtych wydarzeń, a i pamięć tych, którzy być może nawet stali przed zaspiańskim ołtarzem i uczestniczyli w Eucharystii sprawowanej przez Jana Pawła II, wydaje się być zawodna. Wydaje się więc, że trudno przecenić działania, których zadaniem jest nie tylko ocalenie od zapomnienia, lecz także przypominanie tego, co najważniejsze z treści wszczepianych w nasze serca przez Papieża Polaka.

Oglądając pokryte patyną czasu pozostałości już fotografii z tamtych lat, można śmiało powiedzieć, że cała Zaspia jest takim pamiętkowym miejscem. Trudno też nie poddać się wrażeniu, iż słowa Ojca Świętego jeszcze wciąż wybrzmiewają wśród wyrosłych przez lata drzew w parku nazwanym jego imieniem i powracają echem, odbite od ścian okalających bloków mieszkalnych, na których siedemnaście lat temu trwała prawdziwa bitwa o słowa prawdy. Kiedy

ówczesne władze wypisywały na murach propagandowe hasła, niespodziewanie, w nocy pojawiały się pod nimi inne transparenty. Przykładowo na jednym z domów komuniści wypisali hasło: *BYLIŚMY – JESTEŚMY – BĘDZIEMY*, dodany nocą napis uzupełniał: *ZAWSZE WIERNI BOGU*.

Już wtedy, w roku 1987, gdy Ojciec Święty opuścił Gdańsk, zrodziła się myśl, aby upamiętnić wszystkie te wydarzenia. W miejscu, gdzie był ołtarz okręt ustawiono dużych rozmiarów głaz. Kiedy przygotowywano się do wykonania tablicy pamiętkowej, która miała być przytwierdzona do owego kamienia, któregoś ranka do proboszcza zaspiańskiej parafii Opatrzności Bożej ks. kanonika Kazimierza Wojciechowskiego przybiegli parafianie i powiadomili go, że w nocy kilkudziesięciotonowy głaz *zniknął*. Wkrótce udało się ustalić, że pod osłoną ciemności służby bezpieczeństwa wywiozły ów kamień kilka kilometrów dalej, do innej dzielnicy Gdańska, na Morenę. Cóż było zrobić? W tej sytuacji jedyną możliwą formą upamiętnienia tak ważnego wydarzenia, jakim była wizyta następcy św. Piotra w tysiącletnim Gdańsku, pozostała pamięć w modlitwie, zwłaszcza za dzień 12 czerwca każdego roku, który od pamiętnego 1987 r. stał się dniem odpustu wspólnoty Opatrzności Bożej.

Przez wiele lat wszelkie próby parafian z Zasy kierowane do władz Gdańska o zezwolenie na postawienie jakiegokolwiek pomnika w parku, w którym Papież sprawował Eucharystię spotykały się z kategorię odmową.

Groźono nawet proboszczowi procesem sądowym, że próbował samowolnie dysponować kamieniem, który jest własnością państwa ludowego. Nic wówczas nie zapowiadało, że kiedykolwiek w tej sprawie nastąpi jakiś przełom.

Kiedy na początku lat dziewięćdziesiątych ubiegłego stulecia w Polsce zmienił się ustrój, ów głaz na Morenie wytopili kombatanci *AK* i zgłosili się do nowo wybranych władz Gdańska z prośbą, aby ten mógł być pomnikiem żołnierzy *AK*. Usłyszeli wówczas z ust włodarzy grodu nad Motławą, iż właścicielem kamienia jest ksiądz proboszcz na Zaspie. Gdy na plebanię zgłosiła się delegacja byłych żołnierzy Państwa Podziemnego o swoim odkryciu, ten nie ukrywał zdziwienia. Dziś ów głaz, niedoszły pomnik papieskiej wizyty w Gdańsku w roku 1987, ustawiony jest w Gdańsku na Targu Rakowym jako trwały znak upamiętniający zbrojny wysiłek żołnierzy Państwa Podziemnego i Armii Krajowej.

Musiało minąć jeszcze kilka lat, by na wiadomość, że w roku 1999 planowana jest druga wizyta Piotra naszych czasów w Gdańsku, mogła odżyć idea budowy pomnika, który w nowych warunkach mógłby upamiętniać zarówno wydarzenia z roku 1987, jak i wizytę z roku 1999. Z inicjatywy ks. Kazimierza Wojciechowskiego przy parafii Opatrzności Bożej powstał *Spółeczny Komitet Budowy Pomnika Jana Pawła II na Zaspie*, który powierzył zadanie zaprojektowania i wykonania monumentu prof. Mariuszowi Kulpie z gdańskiej Akademii Sztuk Pięknych.

28 września 1998 r. Diecezjalna Komisja ds. Sztuki Sakralnej zatwierdziła projekt, według którego monument o wysokości 4,5 metra miał być (i ostatecznie został) wykonany z trzech brył granitu fińskiego. *Już sam materiał rzeźbiarski jest symbolem – tłumaczył komisi prof. Kulpa – odnoszącym postać Jana Pawła II, jako następcy św. Piotra, do ewangelicznych słów Jezusa: Ty jesteś Piotr, czyli skała i na tej skale zbuduję Kościół Mój...*

Bogusław Olszonowicz

3. ROCZNICA TRAGICZNEJ ŚMIERCI BISKUPA JANA CHRAPKA CSMA

18 października 2001 r. ordynariusz radomski biskup Jan Chrapka zginął w wypadku samochodowym w Sielkukach pod Białołęzką. Miał 53 lata i był jednym z najpopularniejszych polskich biskupów, szczególnie dobrze znanym w środowisku dziennikarskim, w którym od lat blisko współpracował. Praktyczne zagadnienia pracy dziennikarskiej poznał, kierując w latach 80. miesięcznikiem *Powściągliwość i Praca*. Od połowy lat 80. do czasu nominacji biskupiej w 1992 r. był przełożonym generalnym mihalitów. Początkowo pracował jako biskup pomocniczy w diecezji drohiczyńskiej. W 1994 r. objął podobne stanowisko w diecezji toruńskiej, a w 1999 r. został biskupem radomskim. Biskup Jan był organizatorem papieskich pielgrzymek do Polski w 1997 i 1999 r. Jako biskup radomski był inicjatorem wielu charytatywnych przedsięwzięć: jadłodajni dla ubogich, banku żywności, badań mammograficznych dla kobiet... Oto fragment – niedrukowanej jeszcze nigdzie – rozmowy z bpm Chrapkiem, którą redakcja *PIP* przeprowadziła 8 lipca 1999 roku. Publikujemy ją, ponieważ zawarte w niej tezy są, być może dzisiaj jeszcze bardziej, aktualne.

Boża służba

Media prześcigają się w snuciu domysłów na temat potrzeby istnienia nowych mechanizmów służby Kościoła ludowi Bożemu...

Nie mam w tym zakresie jakiegoś skutecznego klucza. Boję się wielkich słów. Nie ludzę się nadziejami jakiegoś zrewolucjonizowania sposobów służenia Kościoła. Nie ważyłbym się minimalizować roli aktywności rekolekcyjno-misyjnej, ewangelizacyjnej... Chciałbym jednak ożywić działalność wszelkich grup formacyjno-modlitewnych, w tym umocnić *pozycję* modlitwy różańcowej. Ale to wszystko praca wspomagająca. Powtarzam: boję się rewolucjonizowania. Widzę potrzebę i możliwości spokojnego drażenia świadomości, pobudzania chrześcijańskiego sposobu myślenia o społecznym wymiarze naszego życia religijnego w rodzinie, której na imię Ojczyzna. Myślę o jej historii, kulturze, o jej kontaktach ze światem... Ojciec Święty jest dla mnie nieodścignionym wzorem i dowodem, że Ewangelię najskuteczniej głosimy, nie oszczędzając się w jej przekuwaniu na konkrety codziennego życia. Doświadczyłem tego na sobie. Otóż przed pielgrzymką Papieża do Polski (1999 r.) myślałem o odwołaniu mojego wyjazdu do Ameryki, gdzie czekało na mnie kilka wykładów. Zamierzałem odpocząć. Po przeżyciu – a raczej po przesłędzeniu z bliska – pielgrzymki papieskiej, nie miałem wątpliwości: nie wolno mi tego czynić. Widząc, jak On się nie oszczędzał w służbie Bożej, nie mogłem się wykręcić... To spalanie się w służbie jest dla mnie wyjątkowo mocnym wyzwaniem.

Chciałbym, obok tego wszystkiego, być obecnym w mediach publicznych – inspirując, wspierając wszelkie inicjatywy oddolne w tym zakresie... Jest przecież w diecezji mała prasa, jest radio, jest instytut teologiczny... Wszystko to trzeba wspierać, trzeba podpowiadać, aktywizować, a przede wszystkim – jak mawiali święci – nie przeszkadzać Duchowi Świętemu w Jego inspiracjach, w nasycaniu pierwiastkami duchowymi naszej zgrzebnej codzienności, gdzie jest przecież dużo jeszcze *ziemi niczyjej*, nie zagospodarowanej przez Łaskę Bożą. Słyszę też wielkie wołanie o ewangelizacyjną katechezę... Jest wołanie o liderów formacji wedle społecznej nauki Kościoła. Marzy mi się instytut szkolący ludzi wierzących do wielkich, społecznych zadań – katolickich liderów samorządowych...

Wiem, że olbrzymi potencjał intelektualny systematycznie odpływa z Radomia – z braku pracy. Musimy znaleźć sposób na ich zatrzymanie i budowanie pomyślności swej małej ojczyzny.

Ksiądz Biskup jest niewątpliwie osobą szczególnie – nazwijmy to – przysposobioną, by zabierać głos



for. P. Ziębicki

i pobudzać skutecznie różne inicjatywy w zakresie realizowania społecznej nauki Kościoła...

Mam nadzieję, że dotychczasowe doświadczenia pomogą mi przynajmniej nie po omacku szukać dróg w rozwiązywaniu problemów na ziemi radomskiej. Już widzę potrzebę uwrażliwienia kapłanów na problemy społeczne, które są integralną częścią duszpasterstwa. To ogromne wyzwanie: wprowadzić problematykę społeczną do myślenia duszpasterzy. Trzeba nam wyzwoleć i zbudować w sobie silną strukturę wierności Ewangelii, wyrosłą z tęsknoty dorastania do pełni wiary, głębi doświadczenia Boga. Ojciec Święty zdobywa tę tęsknotę z nas swoim przykładem, poucza, jak budować wokół niej świat cywilizacji miłości. To wielka wizja świata, kreowana przez Papieża, który mówi o potrzebie swoistego męczeństwa, bezkrwawego, polegającego na oddawaniu każdej chwili życia bezinteresownej służbie innym, na tworzącą odpowiedzialność...

Myślę o tym wszystkim jako ogromnym zadaniu i odczuwam pewien lęk, czy potrafię te idee rozpiszać na realia mojej pasterskiej posługi... Ale – choć lęk trochę paraliżuje – uskrzydla mnie wiara.

Rozmawiał ks. Mieczysław Gładysz CSMA

POLSKI KOŚCIÓŁ W USA

Dziś pomiędzy brzegami Rio Grande i Sabiny mieszka ich ponad 200 tysięcy. W Teksasie są już piątym pokoleniem pionierów polskiego osadnictwa. W USA liczbę Polonusów szacuje się na ponad 9 mln osób.

150 lat amerykańskiej Polonii

Polskie osadnictwo na kontynencie amerykańskim zapoczątkowała ponad stuosobowa grupa Ślązaków z Płunicy i okolicznych wsi Opolszczyzny. Osiedlili się na preriach w pobliżu San Antonio. W grudniu 1854 r. założyli osadę o nazwie Panna Maria. Kocznica jej powstania zbiega się z podobnym jubileuszem całego hrabstwa Karnes. Od początku roku tutejsi Teksańczycy uczestniczą w spotkaniach naukowych i towarzyskich, imprezach rozrywkowych i sportowych, wystawach i pokazach organizowanych z tej okazji. Polskie wątki w bogatym programie jubileuszu należą do bardziej akcentowanych. Gubernator stanu Texas, Rick Perry przekazał na ręce Konsula Honorowego RP dr. Zbigniewa Wojciechowskiego gratulacje z okazji 150. rocznicy powstania pierwszej osady polskiej w Ameryce. W lutym Biały Kościół w Pannie Marii wypełnił się Polakami z USA, którzy przybyli na Mszę św. z okazji 113. rocznicy śmierci o. Leopolda Moczygemby – inicjatora zamorskiej podróży rodaków i pierwszego duszpasterza tamtejszej parafii.

Od trzech lat proboszczem tej parafii jest ks. Wojciech Reich z Kluczborka. – *W październiku tego roku* – informuje duszpasterz – *odbędzie się uroczysty zjazd Kongresu Polonii Amerykańskiej. Będą mu towarzyszyły sympozja naukowe i debaty publiczne poświęcone udziałowi Polaków w budowie nowoczesnego państwa i demokracji Stanów Zjednoczonych Ameryki Północnej. Inauguracja nastąpi w Houston, a zakończenie w Pannie Marii. Udział zapowiedzieli: Lech Wałęsa, Włodzimierz Cimoszewicz i Longin Pastusiak. Kulminacja całorocznych obchodów przypa-*

da na grudzień, wtedy będziemy świętowali 150-lecie naszej parafii i polskiego kościoła w USA. Przybędą do nas: kardynał abp Adam Maida z Detroit, abp prof. Alfons Nossol z Opola, bp John Walter Yanta z Amarillo.

Również i nad Odrą zapowiadane są okolicznościowe wydarzenia. W listopadzie na Uniwersytecie Opolskim zostanie zorganizowane sympozjum naukowe, a w tamtejszych muzeach będzie można zwiedzać wystawy charakteryzujące dzieje śląskiej i polskiej emigracji do USA. Nakładem Wydawnictwa św. Krzyża w Opolu ukazało się pierwsze polskie wydanie monografii pt. *Śląscy Teksańczycy. Emigracja ze Śląska do Teksasu w latach 1852 – 1859.*

Prawdziwego przyjaciela Teksańczycy odnaleźli w osobie ks. Stanisława Bobera, proboszcza parafii w Płunicy. Archiwizuje on stare dokumenty i studiuje literaturę związaną z śląską emigracją na Zachód. Czasem z lupą, a czasem ze słownikiem łacińskim lub niemieckim, długie godziny spędza nad pożółkłymi kartami ksiąg metrykalnych. Dzięki jego badaniom udało się skonfigurować drzewo genealogiczne płunickich Moczygembów zaczynające się gdzieś na początku XVIII stulecia, od niejakiego Georga, który dla teksańskiego misjonarza Leopolda był pradiadkiem. Znacny duszpasterz po ojcowsku troszczy się o miejscowy chór *Tryl* prowadzony przez Marię Garbal.

Organizatorem religijno-patriotycznych peregrinacji jest ks. dr Franciszek Kurzaj, wywodzący się ze Sławic pod Kędzierzkiem, potem wieloletni proboszcz w Pannie Marii a obecnie – prałat w diecezji San Antonio. Twierdzi, że dla amerykańskich Ślązaków ta niewiel-

ka miejscowość w pobliżu Toszka jest *polską Matką* teksaskiej Panny Marii: – *Płunicka jest im bliższa i ważniejsza niż Waszyngton, Las Vegas albo Nowy Jork. Dla nich to jest, jak lat na księżyc. Oni tu wszystko odkrywają; na nowo, po swojemu i dla siebie* – powiedział.

Dziś jest tutaj inaczej niż przed 180 laty, gdy Ewa i Leopold Moczygembowie stanęli przy parafialnej chrzcielnicy, a kapłan pobłogosławił ich maleństwu w beciku i nadał mu imiona: Leopold Bonawentura Maria. Z dawnego pejzażu przetrwało wzgórze Leszcze osnianej wieś przed północnymi wiatrami i las szumiący zielenią buków, grabów oraz dębów. Na żyznych zagonach złocą się pszeniczne łany przytłakane błękitem chabrów i czerwienią maków. Na poboczu polnej drogi do Ligoty Toszeckiej rozrosły się rzędy jadalnych kasztanów, wiązów i jaworów. – *Ten trakt* – mówi ks. Bober – *był ulubioną trasą malego Polaka wędrującego do jednego z dwu ojcowskich młynów w Ligocie albo na majowe nabożeństwo do tamtejszej kaplicy św. Anny.*

Ojciec Moczygamba w 1873 r. przewodniczył założycielskiej konwencji Zjednoczenia Polskiego Rzymo Katolickiego (ZPRK) w Ameryce. Do 1879 r. był jego prezydentem. W tymże roku założył najstarsze w USA polskie Wyższe Seminarium Duchowne w Orchard Lake w stanie Michigan. O jego wybitnych dokonaniach informuje pamiątkowa tablica z medalionem umieszczona przed wejściem do płunickiej fary. W latach siedemdziesiątych ufundował ją ks. Bernard Marceli Goebel, który wtedy był proboszczem w Pannie Marii.

Płunicka jest ciągle celem podróży potomków amerykańskich Ślązaków, którzy tutaj przybywają w poszukiwaniu genealogicznej tożsamości i pragną powrotu do tradycji poprzednich pokoleń. Mówią zaczynając gwarą śląską, która w ich ustach wciąż brzmi tak samo, jak brzmiała w XIX stuleciu, kiedy to wyjeżdżało stąd czterech braci franciszkańskiego misjonarza ks. Leopolda – *patriarchy Abrahama* Ślązaków i Polonusów za Atlantykami.

Henryk Szczepański

60. ROCZNICA LIKWIDACJI ŁÓDZKIEGO GETTA

9 listopada 1939 r. Łódź została wraz z całym rejonem włączona do III Rzeszy, a już 10 grudnia, w tajnym okólniku, władze niemieckie zapowiadają utworzenie getta. Formalnie getto w Łodzi zostaje utworzone 8 lutego 1940 r. na mocy rozkazu Hitlera. 11 kwietnia Łódź przemianowana została na Litzmannstadt (na pamiątkę niemieckiego generała, który poległ w bitwie pod Łodzią podczas I wojny światowej).

Ostrzeżenie z przeszłości

30 kwietnia 1940 r. getto zostało otoczone drutem kolczastym i oddzielone od reszty miasta, z którego wysiedlono wielu Polaków – wielu też uwieziono i zgładzono. Od tego dnia około 200 tysięcy Żydów było wyjętych spod prawa i stłoczonych w nie nadających się do życia, trudnych do wyobrażenia warunkach. Byli systematycznie niszczeni głodem, chorobami, niewolniczą pracą, zabijani i mordowani.

Dla hitlerowców, podobnie jak dla komunistów, życie ludzkie się nie liczyło. Każde przekroczenie granicy getta groziło śmiercią. Udzielenie przez Polaka pomocy ukrywającym się Żydom oznaczało dla niego i jego rodziny śmierć (tego rodzaju zarządzenie obowiązywało tylko na obszarze Polski). Wykonano wiele egzekucji za ukrywanie i pomoc Żydom, a mimo to hitlerowcom nie udało się zastraszyc wszystkich. Było wielu, którzy ustawicznie ryzykując życie swoje i swoich najbliższych, uratowali około 20 tysięcy Żydów. Istnieje na ten temat bardzo bogata literatura. Najwięcej drzew w słynnej Alei Sprawiedliwych w Jerozolimie ma tabliczkę z polskimi nazwiskami.

Ale żadna akcja pomocy nie mogła ocalić 3 milionów zagrożonych przez Niemców Żydów na obszarze okupowanej Polski. I dlatego hitlerowcom udało się przeprowadzić zaplanowane ludobójstwo. Dziś szczegółów tego ludobójstwa są znane historykom w zasadzie w najdrobniejszych szczegółach. Ustalone też zostały nazwiska głównych zbrodniarzy, ich sposób myślenia, tryb podejmowania decyzji, wahania i niezbędne do pokonania przeszkoży, plany i szczegóły ich realizacji oraz elementy kamuflażu, a także próby uniknięcia odpowiedzialności.

Równie dobrze znana jest trudna do wyjaśnienia beczyność i bierność tych, którzy mogli choćby próbować powstrzymać ludobójstwo – mocarstw anglosaskich. Główni zbrodniarze w zasadzie uniknęli odpowiedzialności, przynajmniej w sensie procesu i wymierzenia sprawiedliwości. Albo zginęli podczas wojny (Heydrich, Freisler), albo popełnili samobójstwo (Hitler, Himmler, Bormann, Goebbels), albo też schronili się w Ameryce Południowej (Mengele). Tylko nieliczni stanęli przed sądem: gaulleiter Poznania – Greisler, komendant Oświęcimia – Hoess, gaulleiter Prus Wschodnich – Koch, czy odpowiedzialny za likwidację warszawskiego getta – Stroop, a także komendant łódzkiego getta – Hans Biebow. Najbardziej chyba znany i ważny w wymiarze symbolicznego, choć mocno spóźnionego triumfu sprawiedliwości, był proces uprowadzonego z Argentyny przez izraelski wywiad Adolfa Eichmanna, osądzonego i powieszzonego 31 maja 1962 r. w Jerozolimie.

Uroczyste obchodzona w Łodzi rocznica likwidacji getta to także jeden z przejawów triumfu sprawiedliwości, potwierdzający ważność niezmiennych zasad moralnych, dzięki którym możliwe było przewyżczenie ludobójczych tyranii. Jak powiedział w okolicznościowym wystąpieniu Władysław Bartoszewski, jeden ze *Sprawiedliwych wśród narodów świata*, więzień Oświęcimia, a w czasach stalinowskich Molotowa i Rawicza: *Biblijny nakaz nie zabijaj staje się w takich miejscach, jak Łódź – wspominająca swą historię, i w takim czasie jak sześćdziesiąta rocznica zagłady jednej trzeciej ludności europejskiego miasta imperatywem dla każdego z nas żyjących na tej ziemi*

świadców tej epoki i ich potomków.

Najbardziej chyba wruszająca była obecność mocno już starszych, czasami wyraźnie schorowanych ludzi noszących identyfikatory ze słowem – *Ocalony*. Niektórzy z nich przybyli do Łodzi po raz pierwszy od tamtego czasu, niektórzy mówili, że przyjechali z nadzieją, że może odnajdą ocalałych członków rodzin. Nawet mieli ich powiększone zdjęcia i nazwiska na kartkach papieru. Przypominało to podobne sceny po 11 września w Nowym Jorku.

Ludobójstwo w sensie zagłady całych narodów i klas społecznych dokonywało się w XX w. kilkakrotnie. Najbardziej znane to ludobójstwo Ormian dokonane przez Turków w 1915 r.; celowo wywołany przez Stalina głód na Ukrainie w latach trzydziestych. Po II wojnie światowej: miliony Chińczyków wymordowanych przez Mao Tse-tunga, zbrodnicze rządy Pol Pot'a, plemienne rzezie w Afryce, a ostatnio masowe morderstwa w Darfurze.

Cena życia ludzkiego na wielu obszarach globu jest nadal bardzo niska (widać to było choćby w szkole w Osetii czy w teatrze na Dubrowce). Przypomina tragedii Żydów, której jednym z symboli i przykładów jest łódzkie getto to w pierwszym rzędzie oddanie hołdu ofiarom oraz tym wszystkim, którzy pomagali wówczas tak bardzo pomocy potrzebującym. Ale to także ostrzeżenie na przyszłość i wyraźne opowiedzenie się przeciwko przemocy, zbrodni, zabijaniu, fanatyzmowi zaślepieniu, które pozwala odwracać się od Bożych Przykazań i Ewangelii z przeświadczeniem, że dla jakis racji specjalnych jest to potrzebne, gdziekolwiek i kiedykolwiek ma miejsce.

Stefan Niesiołowski

Już sennik egipski doradzał, by wystrzegać się snów w czasie kanikuły, czyli w próżny czas wakacji, znajdujący się pod zwodniczym wpływem Psiej Gwiazdy, czyli Syriusza, a to z tej przyczyny, że mogą one w pełni się ziszczyć. Jakoż mimo usilnych starań i czuwania conocnego nie ustrzegłem się zmór nocnych.

Chory horror

Najpierw przyśnił mi się psycholog Andrzej S., który sam się zadenuncjował w osiedlowym śmietniku jako pedofil. Przyjaciele z towarzystwa od razu popiechali mu z pomocą, wprowadzając mu psychoanalizę niewinność, usprawiedliwioną ciężkim dzieciństwem, które podejrzany dotąd ukrywał. Jak wiadomo, psychoanaliza z psychoterapią mogą nie tylko wszystko wyjaśnić, lecz także wiele obecnie załatwić. Znani psychoterapeuci i seksuolodzy, m.in. Jacek S. i Lew S. (nie mylić z Lwem Rywiniem ani z Lwem Tołstojem; esemesy z rozwiązaniem za 7.50 + VAT prosimy przesyłać na Centrum Zdrowia Dziecka) – po przebadaniu rzezonego na kozetce psychoanalitycznej wydobyli z niego nowe rewelacje, które dla postronnych, a zwłaszcza dla prokuratury, mogą się wydać całkiem nieprawdopodobne, a jednak możliwe, sądząc po tym, co się dzieje na co dzień w kraju. Otóż, okazało się, że Andrzej S. poświęcił się, oskarżając się jako świadek koronny siatki pedofilskiej działającej w całej Unii Europejskiej.

Prokuratura już miała umorzyć śledztwo w tej niewygodnej dla naszego kraju sprawie, gdy zdecydowano się budzić, to znaczy chciałem się obudzić z tego koszmaru, ale natarły na mnie połączone demonstracje gejów, masonów, feministek, cyklistów i innych niezdecydowanych. Demonstracje maszerowały na osi Paryż – Berlin z merami tych miast na czele, nie powiem, co robiącymi (w końcu jest wolność, nie muszę wszystkiego mówić). Demonstracje, nacierając na Warszawę i jej bardzo niepoprawnego prezydenta Lecha K., który zamierza wywołać warszawskie powstanie przeciw aliantom, hufcom postępu i awangardzie wolności i wykorzystać tę sytuację politycznie dla osobistej kariery, by przejść do historii jako naczelnik drugiego cudu nad Wisłą, broniącego jednak tym razem kraj od Za-

chodu. Na szczęście prezydent K. ma sobowtóra, wprawdzie tylko jednego (nie jak Saddam H.), ale i to wystarcza, by uniknąć skutecznego ataku. Rozdwaja się niejako w oczach przeciwników, a nawet pomnaża za pośrednictwem ich języków i ratuje się, znikając w ten sposób z pola widzenia lub rażenia.

Chciałem już wykorzystać dogodny moment na *happy end*, który akurat się nadarzał, gdy zostałem rozpoznany i zaatakowany przez oddział straszliwych feministek pod postacią bezwzględnych amazołek – znanych mi od starożytności – które już wtedy, jak wiadomo, walczyły o równouprawnienie w wojsku i, na znak protestu, obcinały sobie jedną pierś. O mało nie zostałem powalony przez grupę gorgon ziejających ogniem, hydr przelewających się z pustego w próżne i kuszących syren, czy też bardziej nowoczesnych wiedźm, czarownic i wampirzyce, które przemieniały się gwałtownie, niczym w rewii mody, w postaci drapieżnych wampów, *business women*, markietanek w *battle dressach*, traktorzystek, istot jeszcze żeńskich w mundurach *à la Mao* lub bez żadnych mundurów.

Z przerażeniem spostrzegłem, że na czoło oddziału wysuwa się minister Jaruga N. z napisem na piersiach (obu), *Jestem Arabką*. Nie zdążyłem jeszcze pomyśleć: *Odważna kobieta! Wystawia*

się jako żywa tarcza całego rządu przed atakami terrorystycznymi, a przecież pierwszy lepszy Arab mógłby ją wziąć do haremku jako swoją własność, gdy z tyłu zaatakowała mnie naczelna feministka Kazimiera Sz. Z boku zaś naparła reżyserka Agnieszka H. ozdobiona informacją: *Nie chodź do Kościoła*. Nie wytrzymałem już i odpowiedziałem jej niegrzecznie: – *Ki diabeł, kochana, a któż Ci każe? Za zachowanie i stosunek do kwestii płci zostałem zaraz postawiony przed sądem doraźnym o składzie żeńskim i skazany przez obywatelkę w tożsamości sędziowskiej (i do tego profesorkę praw wszelkich i obyczajów) Marię Sz. na dożywotni karnawał w obozach *Love and Peace*, kierowanych przez znanego filantropa Jerzego O., gdzieś pod Psim Polem czy w innych miejscowościach, które chcą zaistnieć na ekranach i w sieciach.*

Ponad wielką równiń, gdzie tarzały się w błocie i ekstazie, podrygując w rytm ogłuszającej muzyki niezliczone ciała (i dusze?) rozpoznałem znanego mi tylko z ekranu *TVP* i z kolorowych ilustracji Jerzego O. (śmiem więc podejrzewać, że jest on tylko męskim wytworem medialnym), który w stroju z żółtej łodzi podwodnej zagrzewał, mimo gorącej atmosfery, tłumy nieboraków do wiekistej szczęścia już tu, na gołej ziemi.

Miałem już wszystkiego serdecznie dosyć i chciałem się obudzić z tego koszmaru, gdy się okazało, że to niemożliwe – nie mogę się obudzić, bo wcale nie śpię. Za oknem tylko czerwono świeci gwiazda Syriusza nad Pałacem d. Kultury i Nauki im. d. Józefa S. *Nomina* nadal *sunt odiosa*.

Marek Klecel



GOSPODARSKIM OKIEM

Wadą naszej tradycji myślenia o sprawach publicznych jest to, że rzadko kiedy zastanawiamy się nad systemem finansowym, traktując go jako rzecz czysto techniczną. To prawda, że ma on również i takie funkcje, ale sam też kształtuje stosunki społeczne. Dobrym przykładem na wzajemne powiązanie systemu finansowego, ideologii i ustroju państwa są skutki wywołane pojawieniem się NSZZ *Solidarność*.

Pieniądże władzy

Zacząć trzeba od pytania: co to są i skąd się biorą pieniądze? Pieniądże są dokumentami. Mówią o zobowiązaniu państwa do tego, że na jego terytorium każda czynność materialna (cywilnoprawna) może być przez nie wyrażona, a każdy dług nimi spłacony. Oznacza to, że mając pieniądze, możemy zaciągać zobowiązania, kupować, zlecać pracę itd. na równi z państwem, bo w każdej chwili możemy zapłacić tak samo jak ono. Ochrona prawna pieniądza papierowego ma olbrzymie znaczenie praktyczne, bo dotyczy również i jego posiadaczy. Dzięki niej mają sens prawa obywatelskie, nie tylko dla tego, że wymagają one aktywności, a ta zawsze kosztuje, lecz także dla tego, że wyemitowany pieniądź jest zobowiązaniem państwa wobec obywatela. Pieniądże biorą się stąd, że państwo je wyemitowało, ale by miały one wartość, to wielkość tej emisji musi odpowiadać ilości dóbr i usług wymiennych, które znajdują się na rynku.

Kwintesencją władzy państwowej jest swoboda określenia warunków wydawania pieniędzy przez instytucje państwowe. Realne sprawowanie władzy sprowadza się do wydawania ludziom poleceń, za wykonanie których trzeba płacić. Jeżeli przełożony nie rozliczy się z podwładnym, to następuje polecenia mogą nie być już wykonywane. Tak więc ilość posiadanych pieniędzy jest miarą posiadanej władzy.

Solidarność zorganizowała prawie wszystkich wytwórców dóbr i usług wymiennych. Tym samym przejęła kontrolę nad ciągłością podaży dóbr i usług, która jest podstawą emisji (wydawania) pieniądza. Okazało się, że państwo może stracić władzę wynikającą z emisji pieniądza, a więc całą władzę i stać się zależne od zorganizowanego ru-

chu wytwórców dobra wszelkiego.

Rewolucyjność *Solidarności* polegała na tym, że nie miała ona ambicji stania się władzą państwową, chciała jedynie praktycznej realizacji pewnych zasad. Ponieważ *Solidarność* nie chciała zastąpienia jednej hierarchii drugą, to okazało się, że powstał nowy typ (ustrój) państwa. Nowość polegała na tym, że hierarchia społeczna wynikająca ze związków polityczno-ekonomicznych stała się za pośrednictwem systemu finansowego zależna od ruchu społecznego, a właściwie od wyznawanych przez niego zasad. Gdyby ten ustrój upowszechnił się, to kariera jako cel życia przestałaby być zaspokojeniem żądzdy władzy lub pieniędzy, a stałaby się konkursem w skutecznej realizacji zasad współżycia społecznego. Zupełnie inni ludzie, z innych środowisk, zajęliby czołowe miejsca w społeczeństwie. Tym samym cały porządek świata runąłby w gruzach.

Rok 1980 został uznany za początek przemian światowych, bo w jednym kraju zmiana taka się dokonała. Ponieważ działało się w czasie *zimnej wojny* i zachodziła konwergencja (czyli wzajemne upodobnianie się) systemów społecznych, na Zachodzie wybuchła panika. Gdyby tam doszedł do głosu duch *solidarności*, co zdawało się nieuniknione, to oznaczałoby rewolucję.

By ocalić dotychczasowe więzi finansowo-polityczne (ustrój), firmy zachodnie zaczęły gwałtownie przenosić zakłady produkcyjne do innych krajów niż kraje, w których były siedziby zarządu i rynki zbytu danego towaru. Chodziło o uniemożliwienie pracownikom sprzedaż swą produkcję bez zgody właściciela firmy, co byłoby możliwe, gdyby produkcja została w kraju, gdzie jest na nią rynek zbytu. Tym samym firmy te

podkopały suwerenność swych państw, bowiem źródło towarów, czyli podstawa do emisji pieniądza znalazła się w znacznej części za granicą.

Procesy te zachodziły tak szybko, że światowy system finansowy nie był w stanie się do nich dostosować. W rezultacie co kilka lat bankrutowało jakieś państwo (Meksyk, Tajlandia, Rosja, Argentyna). W najbardziej rozwiniętych krajach świata natomiast, nie tyle z obawy przed kryzysem walutowym, ile z braku możliwości emisyjnych pieniądza, zaczęto w ogóle odchodzić od gospodarki pieniężnej na rzecz wymiany naturalnej. Każdy, kto otrzymuje pensję przelewem bankowym, wie, że jeżeli będzie ją wydawał za pomocą karty płatniczej, to może zaspokoić swoje potrzeby, nie widząc pieniędzy za oczy. Wielu z nas myśli, że te jego pieniądze są w banku, ale to nie prawda. Tych pieniędzy prawie bardziej są prawem poboru wybranych towarów niż pieniądzem.

Okazało się, że silny ruch ideologiczny w stosunkowo krótkim czasie doprowadził do rozpadu światowego porządku społeczno-ekonomicznego przez sam fakt swego powstania. Nie jest to moja nadinterpretacja faktów, wynika to wprost z ustaleń Komisji Śledczej Kongresu USA, która miała określić przyczyny i okoliczności kryzysu argentyńskiego, a została powołana ze względu na dokuczliwość wywołanych przez niego strat w gospodarce USA.

Jak widać, sprawy społeczno-ideologiczne są najważniejsze, ale rozpad systemu finansowego doprowadził w latach 90. do widocznej gołym okiem dezintegracji społeczeństw, głównie w Europie Zachodniej i USA, czyli tam, gdzie porządek społeczny opierał się o silne państwo. My, jak dotąd, ponieśliśmy stosunkowo małe szkody, bo Kościół, rodzina, poczucie więzi narodowej mają się stosunkowo nieźle, nie jesteśmy jednak na te procesy zaimpregnowani i musimy się zastanowić nad naszą alternatywą dla obecnego systemu finansowo-politycznego.

Paweł Gospodarski

MEDIA A PROCES WYCHOWAWCZY (6)

Dostarczenie umysłowi całego zestawu elementów telewizyjnego świata wirtualnego wpływa na stworzenie nowej pamięci człowieka. Jest to pamięć, w której granice między iluzją a realnym światem są zamazane. Ma to niebagatelne znaczenie dla wychowywania dzieci i młodzieży przez telewizję i skutków tego procesu.

Telewizyjna pamięć

Pokolenie medialne, zwane *Generacją X*, jako pierwsze zaangażowane w związek z mediami, wyróżnia ufnosć w potęgę świata obrazowego i odpowiednia nieufność do słowa pisanego i drukowanego w książkach. Świat jest do pokazania, do zabawy, do zmieniania, a nie do *bezproduktywnej kontemplacji*. *Homo medium* to nowy typ człowieka, myślącego wyobrażeniami zmysłowymi, rozproszony i przewrażliwiony, którego namiętności łączą się z emocjonalnymi obrazami. Nie potrafi on skupić się na lekturze ani na modlitwie. Podświadomie dąży do zmiany wrażeń, tracąc często kontrolę nad sferą sensoryczną. *Homo videns* (człowiek patrzący), który nie dochodzi do prawdy, ale odbiera tylko obrazy, wypiera *homo sapiens* (człowieka myślącego), który potrafi dekodować znaki, tworzyć abstrakcyjne pojęcia, sięgać ontologicznego i etycznego sedna sprawy. Intelkt, umożliwiający obiektywne poznanie prawdy i dobra, ustępuje miejsca inteligencji mediatycznej, skupiającej się na tym, co przedstawiają zmysły.

Media elektroniczne zubażają proces komunikowania oraz język symboliczny. Komunikacja przy ich udziale jest ujednolicona w przeciwieństwie do komunikowania się realnego, interpersonalnego. Posługuje się ona przekazami odpersonalizowanymi, które standardyzuje, wybiera i opracowuje podporządkowując się prawom rynku. Wada to wyrażnie na przykładzie języka.

Cechą komunikowania masowego jest schematyczność (co ułatwia segmentyzację publiczności) i periodyczność (przekazy docierają do odbiorcy z ustaloną częstotliwością). Dysproporcja między fizjologicznym tempem ustroju ludzkiego (np. czynności bioelektrycznych mózgu) i tempem środowiska technicz-

nego wywołuje poczucie nienadążania i pośpiechu. Człowiekowi oderwanemu od porządku i rytmów przyrody trudniej o własną integrację. Zarówno nuda, jak i pośpiech powodują, że czas obecny jawi się jako przeszkoda, którą należy pokonać, chce się być *poza* nim. Postawą przeciwną jest *być w środku* (*inter esse*), czyli zainteresowanie, postawa charakterystyczna dla człowieka twórczej kultury, wiążąca się z charakterystyczną potrzebą skupienia, wewnętrznego nasłuchiwania i refleksji.

Na niebezpieczeństwa wynikające z *ducha techniki* zwracał uwagę już papież Paweł VI: *Wszecstronne panowanie materii i sił przyrody, pierwszeństwo dawane działaniu praktycznemu i użytkowemu, całkowicie nowa organizacja życia na skutek wielokierunkowych zastosowań techniki, to wszystko spycha w człowieku myśl o Bogu na drugi plan i thumi w nim potrzebę wiary i religii...*

Ustosunkowanie się poszczególnych ludzi do mediów jest wyraźnie zróżnicowane. Odbiciem ich relacji jest regularność odbioru mediów oraz sposób korzystania z nich. Wyróżnia się:

- ➔ **postawę pozytywną** – charakteryzuje ją ogólna akceptacja mediów, ujawniana w rozmowach prywatnych i publicznie, daleko idące zaufanie do publikowanych treści, chęć nawiązania kontaktu z ludźmi mediów i troska o ich rozwój;
- ➔ **postawę negatywną** – wyróżnia ją całkowita dezaprobaty wobec mediów, nadmierne eksponowanie jednej słabej strony mediów, aby ją uogólnić i podać krytyce; skłania jednostkę do osmieśzania i lekceważenia mediów, eliminując je z codziennego użytku;
- ➔ **postawę obojętną** – przy której media nie stanowią żadnego autorytetu, człowiek nie atakuje ich jednak ani nie broni, nie

podejmuje polemiki; postawa ta często wiąże się z nikłą wiedzą na temat mediów i zdziwieniem, że są ludzie poświęcający im wiele czasu i zainteresowania.

Od typu postawy niezależny jest realny wpływ mediów na ich odbiorcę. W związku z tym wymienia się:

- ➔ **postawę odporności** – jednostka nie przyjmuje za absolutną prawdę treści, które przekazywane są w działaniach manipulacyjnych i reklamie, nie ma u niej nadmiernego zachwyty nad mediami, odbiorca świadomy jest wpływu ze strony mediów, podejmuje dysputę z opiniami i stanowiskami prezentowanym w mediach, kontakt z mediami łączy z intelektualną docieklivością, a naiwnym i łatwowiernym odbiorcom spieszy z pomocą, dostarczając argumentów do dyskusji i polemik z mediami;
- ➔ **postawę uległości** – jednostka łatwo ulega treściom propagandowym i manipulatorskim, zwłaszcza reklamie, brak jest u niej krytycyzmu, głębokiej refleksji, a widać symptomy tzw. *telewizyjnej mentalności*;

➔ **postawę aktywności** – cechuje ona jednostki, które chcą nie tylko być konsumentami mediów, lecz także wpływać na nie; postawa ta wyraża się w dążeniu, by coraz lepiej poznać media i ich mechanizmy, nawiązać kontakt z nimi, stawiać im wysokie wymagania.

Szczególne uwagi należy zwrócić na: wychowanie, kształtowanie świadomych odbiorców i użytkowników mediów; na formację przyszłych dziennikarzy; na zwiększenie wpływu *czynnika społecznego* na programy poszczególnych środków przekazu; na zaostrożenie odpowiedzialności nadawców za przekazywane treści; na zwiększenie dostępu do mediów publicznych instytucji religijnych, kościelnych i wychowawczych; na zmiany kadrowe i organizacyjne w mediach publicznych, by służyły większej otwartości na nowych dziennikarzy i większej konkurencyjności wewnętrznej.

Rozwijając odpowiednią kulturę telewizyjną, można sprawić, że widzowie będą zdolni do posługiwania się telewizją w sposób świadomy i dla nich użyteczny.

ks. Andrzej Zwoliński

CHWILA MUZYKI**Gniew artysty**

Jak podają źródła, wielki Ludwigo van Beethoven został kiedyś zaproszony przez jednego z wiedeńskich arystokratów do oświetlenia swoją grą – zresztą za sówitą opłatą – proszonego obiadu, organizowanego dla wykładowego towarzystwa. A trzeba Szanownym Czytelnikom wiedzieć, że praktyka *grania do kotleta* nie narodziła się w wieku XX, lecz istniała od niepamiętnych czasów; w wieku XIX, którego dotyczy opisywany przypadek, muzyka trzymała się za zasłoną, aby swym prostackim wyglądem nie zakłócał wysoce estetycznych doznań uczującego zgromadzenia. Beethoven, który z racji swego trudnego charakteru oraz postępującej głuchoty cierpiał całe życie na nie-

dostatek gotówki, zaproszenie przyjął. Niestety, w miarę podawania kolejnych roczników win hałas w pomieszczeniu wzmagał się i w końcu uniemożliwił kompozytorowi muzykowanie. Wówczas – ku ogólnej konsternacji – muzyk wstał od instrumentu, trzasnął wiekiem i wykrzyknął: *– Przed takimi świątyniami grać nie będę!* – opuścił salę.

Oto gniew artysty. Ktoś ośmielił się sprofanować jego muzykę sprośnym hałasem. Można tu nawet dopatrywać się analogii do gniewu Chrystusa wyrzucającego przekupniów ze świątyni. Czy jednak sztuka jako wartość usprawiedliwia takie umiesienie się gniewem?

Należałoby prześledzić, jakie skutki przyniosło dążenie do ubóstwienia sztuki.

Maria Szreder

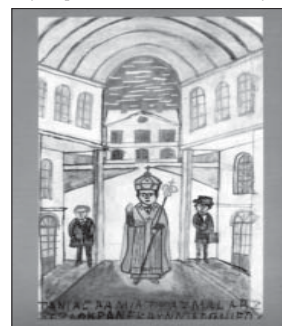
PLASTYKA**Mistrz z Krynicy**

Prawie jedna trzecia olbrzymiego dorobku **Nikifora** to malunki o tematyce religijnej. Badacze jego twórczości twierdzą, iż dorobek ten liczny można było w dziesiątkach tysięcy egzemplarzy (mówi się o 40 tys. obrazków). Jednak dziś w zarejestrowanych zbiorach znajduje się ich niewiele ponad tysiąc, reszta rozeszła się po świecie, uległa zniszczeniu, wyładowała na śmietnikach.

Epifaniusz Drowniak, tak bowiem brzmiało metrykalne nazwisko Nikifora (ur. około 1895 r. – zm. 1968 r.), był człowiekiem niezwykle religijnym. Jego znajomość, być może swoiście interpretowanego Starego i Nowego Testamentu, zdumiewała bliżej znających go ludzi sztuki. Urodził się i żył na styku różnych języków i różnych religii. Był Łemkiem i grekokatolikiem. Znał zarówno Kościół katolicki, jak i wypełniał ikonami cerkwie. Przekonany, że Bóg obdarzył go malarskim talentem, przestrzegał ludzi o groźącym piekle, innym zaś opowiadał o dostatnym życiu w nie-

bie. Tworząc malowane przez siebie modlitewniki (jeden został skradziony, drugi również, później jednak odkupiono go do zbiorów muzealnych) Nikifor wstydliwie ukrywał swój analfabetyzm, równocześnie demonstrował przynależność do świata świętych, świata religii.

Swoje wyobrażenie o życiu na ziemi i w niebie zawarł Nikifor w swoistych przedstawieniach sakralnych



ki. Dla samego Beethovena – oplakane. Ale już kolejne pokolenia artystów, zachęcone światłym przykładem, dopracowały się z wolną pozycją społecznej, o jakiej marzył nie mogli nawet dawni giganci – Mozart, Haydn czy Bach. Dziś na piedestałach stawia się ekskrementy, emitowane byle jak nieprzyzwoite ryki lub chore urojenia chorej wyobraźni.

nie chodzi bynajmniej o postponowanie sztuki. Chodzi tylko o rozróżnienie między rzeczywistymi i pozornymi wartościami oraz o proste pytanie: czy sztuka JEST wartością sama w sobie, czy też wartością SŁUŻĄCĄ? I czy wobec tego artysta – jak każdy inny szlachetny człowiek – nie powinien raczej unosić się gniewem, kiedy obrażane są: WIARA, NADZIEJA i MIŁOŚĆ niż – *excusez le mot* – plody jego ducha?

Bo może – w przeciwnym razie – grzeszy?

wnętrz. Pewny, że w życiu przyszył Bóg wynagrodzi mu nieszczęścia, kalcetwo, nędzę i upokorzenia dnia codziennego, widział siebie w ceremonialnych strojach kościelnych dostojników jako Nikifora Biskupa, który stojąc w centralnym miejscu świątyni, wymierza karty tym, którzy go krzywdzili.

Bolesnie doświadczany przez los Nikifor – samouk z Krynicy – był niezwykle wrażliwym kolorystą. Barw jednak używał tylko w jeden sposób, mianowicie kolorami wypełniał wcześniej opracowane, dokładny rysunek. Jako doskonały obserwator, nie przenosił na swoje papiery świata realnego, ale w jego fantazyjnej architekturze czuje się wspaniale piękno, rytm i harmonię, jakie można dostrzec w sztuce najwyższych lotów. W ostatnim roku swojego życia, przebywając w szpitalu, malował wyłącznie kredkami. Powstał wtedy cykl *chorągwi* z przedstawieniami świętych. Twórczość Nikifora, bohatera filmu Krzysztofa Krauzego, wchodzącego na ekrany kin, przypomina czynna do końca października br. wystawa w warszawskim Muzeum Etnograficznym.

Jarosław Kossakowski

PRZEGLĄD PRASY

W *Nowej księdze przysłów i wyrażen przysłowiowych polskich, wydanej w 1970 r. pod redakcją Juliana Krzyżanowskiego, odnotowano 65 przysłów mówiących o Niemcach. Siegnąłem po ten zbiór mądrości ludowej nie bez powodu. Oto bowiem po paru latach sielanki, kiedy to nasze media kreowały Niemców na prawdziwych przyjaciół Polaków i Polski – powiata chłodem.*

Jak postępować z Niemcami?

Najpierw Erika Steinbach, a za nią rozliczne ziomkostwa niemieckie zaczęły gromko domagać się od Polski odszkodowań za skutki II wojny światowej. Po długim okresie chowania głowy w piasek przemówił wreszcie sejm, oświadczając kategorycznie, że żadnych odszkodowań nie będzie. Ale najbardziej zdenerwowało Niemców co innego, mianowicie zapowiedź, że policzymy nasze straty wywołane niemiecką agresją w 1939 r. i przedstawimy Republice Federalnej odpowiedni rachunek. I Niemcy, jak należało się spodziewać, uderzyli na trwogę. Oto – powiadała niemiecka media – Polacy chcą zniszczyć zjednoczoną Europę! A, że Niemcy mają pieniądze i wszyscy się z nimi w świecie liczą, znowu urabiamy nam (i to skutecznie!) opinię warcholów, którzy dążą do zniweczenia europejskiego ładu. Ha! Historia się powtarza i dlatego sięgnąłem po nasze przysłowia, aby zobaczyć, jak to z tymi Niemcami w Polsce bywało...

A bywało, przynajmniej od XVII w., identycznie jak teraz. Znane wszystkim przysłowie, że *Jak świat światem, nie będzie Niemiec Polakowi bratem* zapisano po raz pierwszy w 1670 roku. Młodsza o sto lat jest ludowa ocena pakowania z Niemcami: *zgodą z Niemcami, jak wilkom z baranami*. Aleksander Fredro, którego nie sposób pościć o narodowy szowinizm, zanotował w XIX w.: *pierwej półkniez promień słońca, nim z Niemcami dojdiesz końca*. Przewodniczący SPD Franz Münterfering nazwał uchwałę naszego sejmu *provokacją* i stwierdził, że Polacy powinni być wdzięczni Niemcom za ich poparcie dla Polski w czasie negocjacji o przyjęcie do Unii Europejskiej. Niemiecka pamięć jest dobra, ale krótka, bo

Münterfering zapomniał, dzięki komu runął wcześniej berliński mur i doszło do zjednoczenia Niemiec. A zatem odświeżmy niemiecką pamięć i przypomnijmy, że to dla nas nie pierwsza. Albowiem już w XIX stuleciu powiadało się w Polsce, że *wywdzięczył się jak Niemiec...*

Oburzenie niemieckich polityków i niemieckich mediów, że osmieliliśmy się przypomnieć straty poniesione w wyniku wrześniowej agresji 1939 r., nie jest zaskakujące. Wynika z niego, co przeciętny, statystyczny Niemiec **chce pamiętać** o: wymordowaniu 6 milionów polskich obywateli, mordowaniu dzieci, paleniu bibliotek i muzeów i planowej eksterminacji naszego narodu, aby uczcić *przestrzeń życiową*, dla której rozpełtali II wojnę światową. Otóż ów przeciętny Niemiec pamiętać tego nie chce, czego dowodzą publikacje w niemieckiej prasie. Wpływała i opinio- twórcza *Süddeutsche Zeitung* przypomina, że w zamian za *slabo zaludnione tereny wschodnie, zamieszkane w jednej trzeciej przez ludność polską*, otrzymaliśmy *wschodnie obszary Niemiec, na których mieszkało 10 milionów Niemców* i konkluduje, że Polacy *rozpowszechniają nierozsądne poglądy, jakoby rachunek z Niemcami był jeszcze otwarty...*

Na tym przykładzie okazuje się, że pamięć niemiecka nie jest bynajmniej krótka. Ona jest bardzo, ale to bardzo krótka, boć to przecie sami Niemcy, i to zaledwie parę miesięcy temu, uznali i publicznie ogłosili, że ten rachunek jest *otwarty*. Wielkonakładowa gazeta *Welt am Sonntag* uderza w inne tony: *polskie żądania (żądania? – dobre sobie!, ale tak właśnie Niemcy rozumują) są afrontem wobec kanclerza Gerharda*

Schrödera. Oto więc zaledwie pięćdziesiąt lat po tym, jak palili nasze księgozbiory i bombardowali miasta, Niemcy uczą nas teraz kultury i dobrych manier.

I prawdę mówiąc, samiśmy się do tego przyczynili, że nikt, ani Niemcy, ani reszta świata, nie chce pamiętać o potwornych i bezprzykładnych zbrodniach, których dokonali Niemcy w okupowanej Europie. Tuż po wojnie słowo Niemiec pisano u nas małą literą i mówiono wprost o *zbrodniach niemieckich*. Później, by nie drażnić *zaprzyżnioniej* NRD, upowszechniono sformułowanie – *zbrodnie hitlerowskie*. Od kilku dziesięcioleci godzimy się na *zbrodnie nazistowskie* i mamy za swoje. Przymiotnik *hitlerowski* kojarzy się nieodownie z Hitlerem, a więc z Niemcami. A *przymiotnik nazistowski*? Który przeciętny Amerykanin, Kanadyjczyk czy Brazylijczyk wie, co to był *nazizm*? Prawie żaden. Skutki tego zaś są takie, że nagminnie powiada się a światowych mediach (a nawet w urzędowych dokumentach w USA) o *polskich obozach nazistowskich*, a nawet – jak niedawno w kanadyjskiej telewizji – o *polskich obozach koncentracyjnych*.

A stąd już tylko niewielki kroczek do powszechnego mniemania wśród amerykańskiej młodzieży (na co zwrócił uwagę Jarosław Kaczyński), że *na ziemi to samo, co Polacy*. Ale cóż, wywiadu Teresy Torąskiej (czy chociażby fragmentów), w którym były żołnierz niemiecki opowiada o mordowaniu dzieci podczas Powstania Warszawskiego ani niemieckie, ani inne zachodnie gazety jakoś nie kwapią się upowszechniać w milionowych nakładach. Za to bardzo chętnie cytowane są fragmenty artykułów Michała Cichego z *Gazety Wyborczej* o tym, jak to *AK i NSZ wytknęły mnożstwo niedobitków z getta...* Z prawdziwą radością i przyjemnością przedrukowuje się to w Niemczech, USA i Kanadzie, bo Polaków szczególnie się tam nie lubi. Lubi się natomiast ich oszczerzać. A sprostowania nikt później nie drukuje, bo kto by tam na świecie liczył się z Polakami.

Co z tej zmasowanej, proniemieckiej i antypolskiej propagandy wyniknie za

☞ 30 czy 50 lat? Nietrudno sobie wyobrazić. Ja na przykład wyobrażam sobie, że jakiś młody reżyser, dla którego II wojna światowa będzie taką samą prehistorią, jak *wojna trojańska*, zechce zrobić film o zbrodniach nazistowskich. I oczywiście zrobi, bo w Hollywood zawsze się uważało, że mordowanie ludzi jest bardzo widowiskowe. Tyle że oprawy w Auschwitz ubrani będą w polskie mundury, bo za 50 lat będzie zupełnie oczywiste, że naziści byli Polakami.

Na tym tle wypowiedź Aleksandra Kwaśniewskiego dla amerykańskiej *International Herald Tribune*, w której sprzeciwia się wystawieniu Niemcom rachunku za II wojnę światową (przywołuję za *Rzeczpospolitą*), uważam nie tylko już za skandaliczną, lecz także za antypolską. Swą zbrodniczą wojną Niemcy cofnęli Polskę cywilizacyjnie i ekonomicznie o 30 (co najmniej) lat. Jakie pieniądze byłyby za to godziwą rekompensatą? Zapewne tak ogromne, że nawet bogatych Niemców nie byłoby na to stać. Ale niech przynajmniej wiedzą (i świat także), ile są nam winni. A czy zapłacą? Cóż, to już jest kwestia ich honoru, toteż wiele bym sobie nie obiecywał. Już bowiem w 1570 r. powiadał Polacy, że *Już to sęk twardy, iż Niemiec hardy*.

Andrzej W. Pawluczuk

A jednak

Obłęd – napisał Nietzsche – jest u jednostki czymś sporadycznym, ale regularnym, jeśli chodzi o grupy, partie, narody, epoki. Można domyślać się, że Nietzsche nie chodziło o każdy rodzaj obłędu, o każdą cechę choroby umysłowej, ale o urojenia.

O co zapewne szło Nietzsche, objaśni chyba fragment z psychiatri Kepińskiego: *Gdy paranoik zaczyna nagle w swoim najbliższym otoczeniu odkrywać różne niezwykle cechy, wrogie, przebiegłe knucia, jesteśmy tym faktem zaskoczeni i traktujemy te odkrycia jako urojenia. Gdy jednak tego samego rodzaju odkrycia dokonywane są w stosunku do reprezentantów obcych nam grup, wówczas traktujemy je nie jako urojenia, ale jako prawdę, częściową prawdę lub najwyżej jako uprzedzenia rasowe, klasowe, narodowe, religijne, polityczne itd. W życiu społecznym tolerancja na urojenia jest większa niż w życiu indywidualnym.*

Zgadzam się z Nietzsche i z Kepińskim, że urojenia dotyczące obcych grup są często uważane za prawdę, a urojenia wobec bliskich jednostek – nie, ale dostrzegam od tej reguły wyjątek. Dotyczy on filozofów. Ich urojenia wobec jednostek bywają obdarzone godnością prawdy, bo ogół ulega autorytetowi wybitności filozofa albo myśliciela.

Weźmy dla przykładu dwóch słynnych, uznanych filozofów – samego Nietzschego i Karla Rajmunda Poppa. Nietzsche, który nie znośił demokracji, za jej powstanie winił Platona. Najpierw był Platon, następnie chrześcijaństwo (*platonizm dla ludu* w ujęciu Nietzschego), a wreszcie *ruch demokratyczny przejął dziedzictwo chrześcijaństwa*. Nietzsche nie dostrzegł przy tym, że Platon, tak jak i on, był przeciwnikiem *uśredniającej* ludzi demokracji i opowiadał się, jak Nietzsche, za rządami *dostojnych* arystokratów.

Z kolei Popper, zwolennik demokracji, wróg totalitaryzmów – nazizmu i komunizmu – za ich prątorcę też miał... Platona. Najpierw był Platon, a potem jego uczniowie: Hegel, Marks, Lenin, Stalin, Hitler.

To prawie niemożliwe, a w każdym razie mało prawdopodobne, aby za każdy ustrój, który się komuś nie podoba, za ustrój dobry albo zły, ludzie czy antyludzki, miał odpowiadać zawsze Platon.

A jednak Nietzsche, Popper i ich wyznawcy wierzyli w to.

Jerzy Trammer

Wydawca miesięcznika PiP:

Wydawnictwo **MICHALINEUM**
przy Kurii Generalnej
Zgromadzenia św. Michała Archanioła
Dyrektor Wydawnictwa *Michalineum*
ks. Krzysztof Kuźnik CSMA

Redaguje:

Redaktor naczelny: ks. Sylwester Łącki CSMA
tel. (22) 771 45 95 lub 0 602 603 717
e-mail: pip@michalineum.pl

Adres redakcji:

PiP, ul. Piłsudskiego 248/252,
05-261 Marki k. Warszawy
tel. Wydawnictwa: (22) 781 16 40
www.michalineum.pl

Skład, łamanie, druk:

Drukarnia **MICHALINEUM**.
Grafika komputerowa:
ks. Andrzej Rybicki CSMA

Redakcja nie zwraca maszynopisów
nie zamówionych.

Najkorzystniejsza jest prenumerata

Warunki prenumeraty

Roczna prenumerata 1 egz. wynosi 48 zł
Pieniądze należy wpłacać na konto:
PKO BP SA IV O/Warszawa
Filia Wołomin
08 1020 1042 0000 8302 0009 1181

W miejscu przeznaczonym na korespondencję prosimy wpisać okres prenumeraty i liczbę prenumerowanych egzemplarzy.

Miesięcznik można otrzymać również za pobraniem pocztowym.

W przypadku większej liczby egzemplarzy (ponad 10) udzielamy rabatu.

Zamówienia na miesięcznik **PiP**
prosimy kierować na adres:

Wydawnictwo **MICHALINEUM**
(dział kolportażu)
ul. Piłsudskiego 248/252
05-261 Marki
tel.: (22) 781 14 20

Redakcja dysponuje ograniczoną liczbą
egzemplarzy archiwalnych.

Miesięcznik można także nabyć w następujących domach zakonnych Zgromadzenia:

1. Warszawa-Bemowo II, ul. Ks. Markiewicza I
2. Miejsce Piastowe, ul. Ks. Markiewicza 25a
3. Kraków, ul. Kazimierza Wielkiego 95a
4. Stalowa Wola, ul. Ofiar Katynia 57
5. Toruń, ul. Rybaki 59

Za zgodą władz kościelnych

Nakład: 5000 egz.